DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena 60 gr.

Rok VII — Warszawa, 7 września 1952 r. — Nr 36 (354)

W NUMERZE m. in.:

Dominik HORODYŃSKI

Płodny pył tamtych dni

(Impresje rocznicowe)

„Rok 1939.
Ogólnie, rekapitulując niejako
ta data brzemienna w dzieje
obdarzyła mnie łaską,
że widzieć mogłem wiele".

Tadeusz Gaycy
(„Misterium niedzielne")

DUŻO ironii i pamfletu jak pancerz chroni wstrząsającą poezję Gaycego, by nie stała się jednym jękiem rozpaczy, pancerz głębiej jeszcze uwypuklający wielką tragiczność tej poezji i nieludzkiego czasu warszawskiej wojny, którego była owocem.

Czyż zresztą może istnieć prawdziwa liryka bez ziaren pamfletu i ironii? — Poezja poległego powstańca jest przejmującym dokumentem przeżyć pokolenia, któremu los kazał przechodzić przez takie kręgi dantejskie, że były one nad miarę wytrzymałości ludzkiego serca

„Jak rzeźba wpół złamana, ale
miażdżąca prawdą
jest trudne słowo nasze i krótki
męski płacz".

Szybko dojrzewali wtedy młodzi chłopcy. Ich płacz był męski. I niech nikt z tych, którzy przetrwali nie chełpi się dziś, że wówczas nie płakał. Złe by sobie wystawił świadectwo.

Ironia i zrywy buntu wzbogacają poetycką skargę Gaycego o elementy walki. A tak mu trudno było stanąć w szeregach walczących, tak mocno jego wrażliwe serce artysty porażone było śmiercią. — Mówi o tym każdy jego wiersz, on sam mówi to bezpośrednio „Do potomnego":

„Kochałem tak jak ty zapewne,
ale mi serca dano skąpo
na miłość moją niepotrzebną,
bowiem stawały nad epoką,
której imiona dajesz teraz
olbrzymia śmierć i przerażenie",

Trudno było Gaycemu kochać, trudno było walczyć. A jednak wszystko co pisał pozostanie świadectwem miłości życia i samotnej, chłopięcej walki, zaś jego śmierć na barykadach powstania na zawsze ustawia go w szeregach bohaterskiej młodzieży Warszawy. Tej wspaniałej młodzieży polskiej czasów wojny, którą w sierpniu 1944 garstka głupich i bez sumienia przywódców londyńsko-delegackich rzuciła w grób. Życie tych chłopców, życie Warszawy i jej mieszkańców miało odwrócić bieg historii na korzyść Bora, Mikołajczyka i dalekich Harrimanów. Prowokacja spaliła na panewce, lecz pozstały ruiny i groby.

Gaycy czuł, że zginie. Marzył o świecie spokojnym i szczęśliwym, ale nie widział w nim siebie. Przerażało go, że może potomny w tejże Warszawie znowu stanie w obliczu nowej wojny, która dla niego była ponad siły:

„I może ty znów nad ojczyzną
posępny szlak pocisku widzisz
i drzewa kształty jak szubienic
skrzypią ci groźnie, ostro lśnią,
a serce dzwoni jak zły pieniądz,
gdy patrzysz chmurnie poprzez
noc"

*

NIECH o Gaycym piszą inni, fachowcy od krytyki literackiej. Ja po prostu odłożyłem dziś tom jego wierszy, nad którymi skurcz za krtań chwyta i pomyślałem, że oto skończył się sierpień, miesiąc gdy tylu warszawiaków musi odwiedzać groby i że nadszedł już wrzesień.

Ktokolwiek był w czasie wojny w Polsce, ktokolwiek był w Warszawie ten wie, że jak by długo nie żył, zawsze we wrześniu i sierpniu przynajmniej raz wspomni tamte dni.

Wielkie jest nasze miasto. Jak Feniks odrodziło się z popiołów. Jest dziś dumnym symbolem dla wszystkich uczciwych ludzi na całym świecie. „Warschauer tempo" — mówią przyjaciele niemieccy, nad Wołgą śpiewają pieśni o Warszawie, ludzie z całego świata przyjeżdżają podziwiać jak rośnie nowa stolica Polski.

Wielkie jest DZIŚ Warszawy. Ale jak wspaniała i tragiczna jest jej przeszłość. Do skrwawionych nóg Stolicy chylił się już Słowacki, potem chylił się Norwid, jakże my się chylić musimy? — Widząc wielką przyszłość, wznosząc nowe gmachy i przerąbując szersze ulice musimy pamiętać, że jesteśmy dziećmi jedynego, niepowtarzalnego miasta.

*

ROK 1939. To już trzynaście lat, gdy wrzesień rozpoczął uwerturę apokalipsy dla naszej ziemi, dla Warszawy przede wszystkim. Podobnie jak Gaycy miałem wówczas 20 lat. Znałem ich wszystkich, piewców tych ciemnych lat. Pamiętam pożegnanie z Łomieniem na Krakowskim, z Gaycym na Królewskiej, z Pietrzakiem i Romanem Padlewskim na Krzywym Kole, z... z tyloma, tyloma innymi. W sierpniu przez długie tygodnie patrzyłem na twarze tej do archaniołów podobnej młodzieży, która dzień po dniu na moich oczach odchodziła w śmierć na ulicach Woli, rumowiskach Getta i w kurzu rozsypującej się od bomb Starówki. Wieczorem gdy zamierał huk, w trupiej ciszy słychać było szelest opadającego popiołu, czasem jęk rannego, skomlenie matki drapiącej paznokciami cegły, pod którymi leżały zasypane żywcem dzieci lub echo piosenki, jakiejś „Bo dla naszej kompanii szturmowej" śpiewanej przy świecach w piwnicy przez oddział, który jutro w ślad za kolegami miał odejść na zawsze.

Nie dziwcie się, że nie ma we mnie słów przebaczenia dla sprawców tej hekatomby. Dla Bora, Mikołajczyka, Sosnkowskiego i innych. Zbyt blisko widziałem nie tylko skutki bezrozumnej i zbrodniczej polityki, zbyt blisko widziałem jej „kuchnię" tu w Warszawie i potem w Londynie. Biografowie tych ponurych postaci mogliby może wyjaśnić, że taki np. Bór subiektywnie był niewinny, że to postać błazeńsko-tragiczna, w której ograniczonym mózgu nie mieścił się obraz innej Polski niż szlachecko-kawaleryjskiej, że Mikołajczyka zaślepiała tępa zachłanność władzy i ślepa wiara we wszechpotęgę doradców anglo-amerykańskich itp. Te wszystkie wyjaśnienia ważne są może dla zrozumienia psychologii tych ludzi, ale nie mogą zaważyć na sądzie narodu.

Przeraża mnie, że są jeszcze u nas w pewnych kręgach społecznych ludzie, którzy nie potrafili dotąd właściwie ocenić i wyciągnąć wniosków z doświadczeń ostatniej wojny, którzy z uporem nie zauważają całej ohydy stale pogłębiającej się zdrady emigracji polskiej. Przerażają mnie słuchacze Głosu Ameryki i BBC za dobrą monetę przyjmujący sugestie tych samych ośrodków, które już raz doprowadziły do spalenia Warszawy i chciałyby spalić ją po raz wtóry.

„Chwała zwyciężonym" — głosi napis na grobach powstańców warszawskich. Wieczna cześć i chwała tej pięknej młodzieży, która poległa wierząc, że walczy o świętą sprawę.

„Hańba sprawcom klęski" — taki napis powinien być też w Warszawie. Hańba głupim i egoistycznym przywódcom burżuazji polskiej, którzy pozostawili ojczyznę bezbronną i samotną we wrześniu, którzy jej bytem jak w ruletę zagrali w sierpniu, którzy znowu chcieliby ją ująć w ręce, tym razem przy pomocy wojsk Guderiana i łap byłych esesowców.

Chwała odnalezionej drodze, myślę, patrząc na nowe domy Warszawy i opaloną młodzież, która rozpoczyna nowy rok szkolny. Chwała odnalezionej drodze, choć to droga trudna, wymagająca stałego myślenia, przełamywania w sobie i poza sobą różnych konfliktów, wymagająca ofiarnej pracy i wielu wyrzeczeń. Chwała odnalezionej drodze bo jest mądra, bo otwiera jasną perspektywę dla myśli i dla prac ludzkich. Oby raz na zawsze zamknęła ciemne karty dziejów narodu.

Znowu przerzucam stronice Gaycego. Jest to poezja samotnego człowieka. Człowieka przerażonego nie tylko obrazem tego co z ludzi czyni hitleryzm, przerażonego nie tylko zbyt bliską obecnością śmierci. Przeraża go własna samotność, brak konkretnej wizji przyszłości, brak realnej perspektywy. Było by ślepotą intelektualną i moralną nie widzieć dziś skąd się brała ta samotność. A wówczas była ona udziałem nas wszystkich, inteligencko-mieszczańskiej młodzieży akowskiej.

Różne na nią znajdowaliśmy lekarstwa, jednym z lepszych było pogrążanie się w akcjach bojowych, we wszystkich przeżyciach z tym związanych, w piosence wojskowej, w koleżeństwie, w tym co wytwarzało ten szczególny haszyszowaty nastrój: „nie szumcie wierzby nam" czy „żołnierz drogą maszerował". A jednak nie można było na stałe uciec od myślenia. A gdy zaczynało się myśleć, zaczynało być źle i samotnie. Ilu ludzi zginęło przez wódkę! Jak niewielu potrafiło zedrzeć opaskę z oczu i ujrzeć rzeczywistość taką jaką jest. Trudne było dojście tego pokolenia, tych środowisk i tej klasy do rewolucji polskiej. Długie było błądzenie i samotność.

Chwała drodze, która nowemu pokoleniu nie każe iść w śmierć i samotność.

Cicha i przejmująca skarga poety tamtych dni, chłopca który powiedział o sobie i swych rówieśnikach: „bo jestem tutaj płodnym pyłem" zobowiązuje nas do czujnego strzeżenia naszej nowej drogi, do wielkiego wysiłku nad kształtem rzeczy, które tworzymy, do poświęceń największych, by nigdy w Polsce nie powtórzyło się to co przez tę ziemię przeszło.

Spod gruzów na ul. Przeskok w Warszawie do każdego z nas powinny dotrzeć słowa Gaycego, które on kierował do Boga:

„nie daj, strzegący kresu,
by potem w kraju pszenicznym
nasze rumiane dzieci
bawiły się w apokalipsę".

Dominik Horodyński

TADEUSZ GAYCY

W I D M A

(POEMAT)

Czy znasz ten kraj pod soplami sczerniałych gorących gromnic
skrzypiący dawniej żywicą — dzisiaj błonami skrzydeł
nietoperzy ogromnych.
Czy znasz ten kraj,
gdzie ścieżkami westchnień
płyną nieżywe
Kwiaty zwęglone i kości zwierząt łąkowych i leśnych.
Gdzie płaski wypasał krajobraz
stulone uśmiechy wiosek
i kwitły długo przy ustach łąki łagodne jak flety —
schodzą do jezior z siarki
i węgla lasy brzozowe.
Stanęły w martwym powietrzu głosy psalmistów letnich
kiedy czerwony tulipan ze strzechy wyrósł drzemiącej
i ronił płatki gorące.
Miasta pogięte jak muszle na czarnoziemnych wybrzeżach,
w których się echo strzępiaste wylewa pod strumień wiatru —
oto latarnie uliczne w ślimaki skręcone leżą
i wieże cieką ku ziemi w ceglasty zimny stalaktyt.

Marszczy się skóra globu, lasami zapada i pęka,
w szczelinach grzmoty podziemne niebo kaleczą niskie,
ziewają krwiste zachody przy ziemi rozwartym pyskiem
i czarne słońce zmalało do kształtu serca człowieka.

Ryby na rzekach z fioletu wypływają brzuchami do góry,
jawią się niebom obcym geometryczne stygmaty,
a to zapowiedź złowieszcza,
bo u serca dzwonów wiszą już nietoperze
i znaki z morowego powietrza
jak obłoki wędrują nad światem.

Ptaki nieznane nikomu po długich roślinach świstu
spadają w dłonie łun
jak w sieci listków.
Jabłko ziemi błądzące w zdwojonych mocnych obrotach
o obręcz blasku ociera sypką sosnową sierść.
Rwie się niebieski bulgot
i pustkę złą ustokrotnia,
pustkę o wnętrzu płomienia.

W płomieniu wklęsłym i szklanym mówią — śmierć.
Przymknięte są oczy pożarów, spod których łzy jak katedry —
łzy wyściełane wrzosami miękkie i dziwnie ciche —
a są to farby żałobne rozłożone w skrzydłach motyli,
a są to dźwięki bolesnej muzyki.

Pada śmiertelny deszcz z gromnic wysokich,
bezpańskie zwierzęta straszą między nocą a dniem,
ślepną źrenice ludzi pod cięciem puchowej lotki
ptaków niebieskich przemienionych w złe.

A domy łamią się lekko, domy w których zamieszkał człowiek
naszeptujący do kopców cmentarnych u granic.
Ludzie o twarzach z wosku i oczach łagodnej łani
czekają na gałązkę oliwną, a może
na gałązkę zwykłego śpiewu.

Skłębiona puchnie darń,
skwierczą rozwiane knoty gromnic,
noce wtulone w skrzydła nietoperzy ogromnych
kołyszą kraj.
Ten kraj.

Z wytycznych piątej pięciolatki w Z.S.R.R.

✶

Na bazie nieustannego rozwoju produkcji socjalistycznej i podnjesienia wydajności pracy społecznej zwiększyć dochód narodowy ZSRR w ciągu pięciolatki co najmniej o 60 proc. i w związku z tym zapewnić dalszy wzrost dochodów robotników i urzędników oraz dochodów chłopów. Odpowiednio do wzrostu produkcji i wydajności pracy oraz zadań w dziedzinie budownictwa kulturalnego przewidzieć zwiększenie liczebności robotników i urzędników, zatrudnionych w gospodarce narodowej w r. 1955 — ostatnim roku pięciolatki, w przybliżeniu o 15 proc. w porównaniu z r. 1950.

✶

Nieustannie przeprowadzać również w przyszłości obniżanie cen w handlu detalicznym na artykuły masowego spożycia, mając na uwadze, że obniżanie cen jest najważniejszym środkiem systematycznego podnoszenia realnej wartości płac robotników, urzędników i podnoszenia dochodów chłopów. Podnieść realną wartość płac robotników i urzędników z uwzględnieniem obniżenia cen detalicznych co najmniej o 35 proc.

Określić wzrost funduszów państwowych przeznaczonych na ubezpieczenie społeczne robotników i urzędników w okresie pięciolatki w przybliżeniu o 30 proc. w porównaniu z r. 1950.

Na bazie zwiększenia wydajności pracy kołchoźników, wzrostu produkcji kołchozowej, zwiększenia produkcji rolnicznej i hodowlanej, zwiększyć dochody kołchoźników w pieniądzach i produktach (w przeliczeniu pieniężnym) co najmniej o 40 proc.

✶

W celu dalszego polepszenia warunków mieszkaniowych robotników i urzędników rozwijać ze wszech miar budownictwo mieszkaniowe. Przewidzieć w planie pięcioletnim szeroki program państwowego budownictwa mieszkaniowego zwiększając inwestycje na ten cel mniej więcej dwa razy w porównaniu z poprzednią pięciolatką. W miastach i osiedlach robotniczych oddać do użytku po linii budownictwa państwowego nowe domy mieszkalne o łącznej powierzchni około 105 milionów metrów kwadratowych. Popierać budowę indywidualnych domów mieszkalnych w miastach i osiedlach robotniczych, prowadzoną przez ludność z własnych funduszów oraz przy pomocy kredytu państwowego.

Poprawić komunalną i bytową obsługę ludności miast i osiedli robotniczych, rozszerzyć sieć wodociągową i kanalizacyjną, rozszerzyć sieć centralnego ogrzewania i gazyfikacji domów, transport miejski, rozwinąć urządzenia komunalne w miastach. Nakłady inwestycyjne na budownictwo komunalne zwiększyć pod koniec pięciolatki w przybliżeniu o 50 proc. o porównaniu z r. 1950.

✶

Zapewnić dalsze polepszenie i rozwój służby zdrowia.

Rozszerzyć w ciągu pięciolatki sieć szpitali, poradni, domów położniczych, sanatoriów, domów wypoczynkowych, żłobków, przedszkoli, zwiększając liczbę łóżek w szpitalach co najmniej o 20 proc. liczbę miejsc w sanatoriach co najmniej o 15 proc, w domach wypoczynkowych o 30 proc., w przedszkolach o 40 proc.

Zwiększyć w ciągu pięciolatki liczbę łóżek szpitalnych w Litewskiej SRR w przybliżeniu o 40 proc., Łotewskiej SRR o 30 proc. i w Estońskiej SRR o 30 proc.

Zapewnić dalsze wyposażenie szpitali, poradni i sanatoriów w najnowocześniejszy sprzęt lekarski i podnieść kulturę ich pracy.

Zwiększyć w ciągu pięciolatki liczbę lekarzy w kraju co najmniej o 25 proc. i podjąć na szerszą skalę kroki mające na celu doskonalenie lekarzy w ich zawodzie.

Skierować wysiłki pracowników naukowych w dziedzinie medycyny na rozwiązanie najważniejszych zadań służby zdrowia, koncentrując szczególną uwagę na zagadnienia profilaktyki, zapewnić szybsze stosowanie w praktyce osiągnięć medycyny.

Zwiększyć w r. 1955 co najmniej 2,5 raza w porównaniu z r. 1950 produkcję lekarstw, urządzeń i instrumentów leczniczych, zwracając szczególną uwagę na rozwinięcie produkcji najnowszych leków i innych skutecznych środków leczniczo-profilaktycznych oraz nowoczesnych urządzeń diagnostycznych i leczniczych.

Zapewnić dalszy rozwój kultury fizycznej i sportu.

✶

Zakończyć do końca pięciolatki przejście z systemu nauczania 7-letnego do powszechnego nauczania średniego (dziesięciolatka) w stolicach republik, w miastach wydzielonych, w miastach obwodowych, krajowych i w wielkich ośrodkach przemysłowych. Przygotować warunki dla pełnej realizacji w następnej pięciolatce powszechnego nauczania średniego (dziesięciolatka) w pozostałych miastach i ośrodkach wiejskich.

W celu dostarczenia wzrastającej sieci szkół niezbędnej ilości nauczycieli zwiększyć o 45 proc. przyjęcie do instytutów pedagogicznych w latach 1951 — 1955 w porównaniu z latami 1946—1950; przewidzieć zwiększenie przyjęcia do instytutów pedagogicznych Litewskiej SRR 2,3 raza, Łotewskiej SRR o 90 proc. i Estońskiej SRR o 60 proc.

Zwiększyć budownictwo szkół miejskich i wiejskich w przybliżeniu o 70 proc. w porównaniu z poprzednią pięciolatką.

W celu dalszego podwyższenia socjalistycznego wychowawczego znaczenia szkoły ogólnokształcącej i zapewnjenia uczniom, kończącym szkołę średnią, warunków swobodnego wyboru zawodu przystąpić do wprowadzenia nauczania politechnicznego w szkole średniej i podjąć kroki, niezbędne do przejścia do powszechnego nauczania politechnicznego.

✶

Zrealizować dalszy rozwój kin i telewizji. Rozszerzyć sieć kin, zwiększając ilość urządzeń kinowych w ciągu pięciolatki w przybliżeniu o 25% oraz zwiększyć produkcję filmów.

Rozszerzyć w r. 1955 w porównaniu z rokiem 1950 sieć masowych bibliotek co najmniej o 30% oraz klubów o 15%, udoskonalając ich pracę w dziedzinie obsługi ludności.

Dla zapewnienia znacznego wzrostu nakładu literatury pięknej i naukowej, podręczników, czasopism i dzienników, rozwinąć przemysł poligraficzny i polepszyć jakość prasy oraz szaty graficznej książek.

✶

Stosownie do przewidywanego rozwoju ochrony zdrowia, oświaty i instytucji naukowych i kulturalno-oświatowych, zwiększyć rozmiar inwestycji na te cele w ciągu pięciolecia mniej więcej o 50% w porównaniu z poprzednią pięciolatką.

Piąty 5-letni plan oznacza nowy potężny rozwój gospodarki narodowej ZSRR i zapewnia dalszy znaczny wzrost dobrobytu materialnego i poziomu kulturalnego narodu.

Wykonanie piątego planu 5-letniego będzie wielkim krokiem naprzód na drodze rozwoju od socjalizmu do komunizmu.

✶

Obecny piąty 5-letni plan manifestuje ponownie wobec całego świata wielką siłę żywotną socjalizmu, zasadniczą wyższość socjalistycznego systemu gospodarki nad systemem kapitalistycznym. Ten plan 5-letni jest planem pokojowego budownictwa gospodarczego i kulturalnego. Będzie on sprzyjał dalszemu utrwaleniu i rozszerzeniu współpracy ekonomicznej między Związkiem Radzieckim a krajami demokracji ludowej i rozwojowi stosunków ekonomicznych ze wszystkimi krajami, pragnącymi rozwijać handel na zasadach równouprawnienia i wzajemnej korzyści.

(Dokończenie na str. 11)

SKŁAD OGÓLNOPOLSKIEGO KOMITETU WYBORCZEGO FRONTU NARODOWEGO

PRZEWODNICZĄCY: **BOLESŁAW BIERUT.**

ZASTĘPCY: **Kłosiewicz Wiktor** — przewodniczący Centralnej Rady Związków Zawodowych; **Kowalski Władysław** — prezes Naczelnego Komitetu Wykonawczego ZSL; **Dembowski Jan** — prezes Polskiej Akademii Nauk.

PREZYDIUM: **Albrecht Jerzy** — przewodniczący Prezydium Rady Narodowej m. st. Warszawy; **Cyrankiewicz Józef** — sekretarz Komitetu Centralnego PZPR, **Chajn Leon** — sekretarz Centralnego Komitetu SD; **Horodyński Dominik** — członek prezydium Polskiego Komitetu Obrońców Pokoju, działacz katolicki; **Ignar Stefan** — wiceprezes Naczelnego Komitetu Wykonawczego ZSL; **Jaworski Marian** — sekretarz Zarządu Głównego Związku Samopomocy Chłopskiej; **Juszkiewicz Aleksander** — sekretarz Naczelny Komitetu Wykonawczego ZSL; **Kołodziejski Henryk** — przewodniczący Naczelnej Rady Spółdzielczej; **Kruczkowski Leon** — prezes Związku Literatów Polskich; **Matwin Władysław** — przewodniczący Zarządu Głównego ZMP; **Mrocheń Jan** — wiceprzewodniczący Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej Opole; **Musiałowa Alicja** — przewodnicząca Zarządu Głównego Ligi Kobiet; **Niecko Józef** — przewodniczący Rady Naczelnej ZSL; **Ochab Edward** — sekretarz Komitetu Centralnego PZPR; **Rokossowski Konstanty** — Marszałek Polski.

CZŁONKOWIE: **Apryas Franciszek** — górnik, Budowniczy Polski Ludowej, **Baranowski Wincenty** — wiceprezes NKW ZSL, **Bendziecki Sylwester** — dyr. Państwowego Ośrodka Maszynowego Choszczno, **Cegiełka Czesław** — inżynier, główny mechanik ZISPO Poznań, **Chałasiński Józef** — rektor Uniwersytetu Łódzkiego, członek prezydium Polskiej Akademii Nauk, **Chełchowski Hilary** — zastępca członka Biura Politycznego KC PZPR, **Chmielewski Bohdan** — prezes Izby Rzemieślniczej w Warszawie, **Chojnacki Józef** — dyr. Zespołu Państwowych Gospodarstw Rolnych Miastko, woj. Koszalin, **Czerwiński Marian** — sekretarz CRZZ, **Dąbrowska Maria** — literatka, **Dota Maria** — członek Zarządu Spółdz. Produkc. Zdziechowice, pow. Środa, **Dumanowski Jan** — członek NKW ZSL, **Farnik Alojzy** — inżynier, dyr. huty „Baildon", **Frankowski Jan** — działacz katolicki, **Jach Bronisława** — prządka ZPB im. Róży Luksemburg — Łódź, **Jakubowska Wanda** — reżyser filmowy, **Jóźwiak Franciszek-Witold** — członek Biura Politycznego KC PZPR, **Kluszyńska Dorota** — przewodnicząca TPD, **Korotyński Henryk** — publicysta, prezes Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, **Kowalczyk Stanisław** — rolnik ze wsi Domaniewice, pow. Łowicz, **Kreczmar Jan** — artysta, dyr. Wyższej Szkoły Dramatycznej, **Kulczyński Stanisław** — profesor Uniwersytetu Wrocławskiego, **Kuliński Michał** — I wytapiacz z Huty im. Dzierżyńskiego, **Kuroczko Eustachy** — nauczyciel, przewodniczący ZZNP, ks. infułat **Lagosz Kazimierz** — ordynariusz diecezji wrocławskiej, ks. **Lemparty Antoni** — prezes Zrzeszenia „Caritas", **Łubieński Konstanty** — działacz katolicki, **Malewski Julian** — przewodniczący Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej Olsztyn, **Markiewka Wiktor** — górnik z kopalni „Polska" Świętochłowice, **Mazur Janina** — chłopka z gr. Bronisławów, pow. Łuków, sołtys, **Mazur Stanisław** — profesor, sekretarz Polskiej Akademii Nauk, **Miasowicz Marian**—profesor Akademii Górniczej w Krakowie, **Morcinek Gustaw** — literat, **Mucha Edmund** — starszy agronom POM w Brzegu, **Nachajowski Paweł**—prezes Izby Rzemieślniczej Bydgoszcz, **Nałkowska Zofia** — literatka, **Naszkowski Marian** — generał, **Nowocień Stanisław** — sekretarz ZG ZMP, ks. **Owczarek Stanisław** — proboszcz parafii Konary pow. Grójec, **Pniewski Bohdan** — prof.-architekt, **Pszczółkowski Edmund** — działacz spółdzielczy, **Rapacki Adam** — członek Biura Politycznego KC PZPR **Rylke Aleksander** — profesor Politechniki Gdańskiej, **Schayer Wacław** — członek NKW ZSL, **Sendek Jan** — przewodniczący spółdzielni produkcyjnej w Wilczkowie, pow. Środa Śląska, **Sikorski Jan** — przewodniczący Rady Zakładowej Parowozowni, warsztaty naprawcze Bydgoszcz, **Skórzyński Zdzisław** — betoniarz — BOR Warszawa, **Smolar Grzegorz** — prezes Tow. Kult. Żydów, **Starewicz Artur** — członek prezydium Polskiego Komitetu Obrońców Pokoju, **Stasiak Ludomir** — sekretarz NKW ZSL, **Stasiak Wiktoria** — chłopka ze wsi Umina, pow. Jarosław, prezes Zarządu Powiatowego ZSCh, **Wnuk Marian** — rektor Akademii Sztuk Pięknych, **Wycech Czesław** — wiceprezes NKW ZSL, **Zawadzki Aleksander** — sekretarz Komitetu Centralnego PZPR, **Zubrycka Jadwiga** — przewodnicząca Prez. MRN Białystok, **Żmuda Piotr** — rolnik, przewodniczący Prez. GRN w Sadlinie, pow. Ząbkowice.

NOTATNIK POLITYCZNY

Konferencja Frontu Narodowego

W DNIU 30 sierpnia odbyła się w Warszawie Ogólnopolska Konferencja Frontu Narodowego w sprawie kampanii wyborczej do Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Obradom przewodniczył Prezydent Rzeczypospolitej Bolesław Bierut. Przemawiający na Konferencji przedstawiciele trzech stronnictw politycznych i organizacji społecznych opowiedzieli się za realizacją programu Frontu Narodowego w zbliżającej się kampanii wyborczej.

Na Konferencji wybrano Ogólnopolski Komitet Wyborczy Frontu Narodowego, w skład którego oprócz przedstawicieli stronnictw politycznych weszli reprezentanci wszystkich organizacji społecznych, przodownicy pracy miast i wsi, świeccy i duchowni działacze katoliccy, przedstawiciele świata nauki etc. Cechą charakterystyczną przyszłego składu Sejmu Ustawodawczego będzie wydatne zwiększenie ilości posłów bezpartyjnych, o czym wspomniał w trakcie obrad wiceprezes Naczelnego Komitetu Wykonawczego ZSL — Stefan Ignar. Jak gdyby ilustracją do tej zapowiedzi jest liczny udział działaczy bezpartyjnych w składzie kilkudziesięcioosobowego Komitetu Wyborczego. Jeżeli chodzi o szczególnie interesującą nas liczbę działaczy katolików, to warto podkreślić, że w Komitecie Wyborczym znalazło się ich sześciu. I tak, w skład dziewiętnastoosobowego Prezydium Komitetu wszedł naczelny redaktor „Dziś i Jutro" oraz członek Prezydium PKOP — red. Dominik Horodyński, a w skład Komitetu ordynariusz archidiecezji wrocławskiej ks. infułat Kazimierz Lagosz, znany publicysta katolicki Konstanty Łubieński, poseł Jan Frankowski, oraz z ramienia organizacji „Caritas" księża Lemparty i Owczarek.

Po ustaleniu składu Komitetu Wyborczego odbyło się jego pierwsze posiedzenie pod przewodnictwem Prezydenta Rzeczypospolitej Bolesława Bieruta, który zaproponował, ażeby powierzyć opracowanie i ogłoszenie programu wyborczego Ogólnopolskiego Komitetu Wyborczego Frontu Narodowego — prezydium Komitetu. Wniosek Prezydenta został przez członków Komitetu przyjęty przez aklamację. W trakcie konferencji w imieniu katolików polskich przemawiał ks. prof. Eugeniusz Dąbrowski, wiceprzewodniczący Komisji Intelektualistów i Działaczy Katolickich przy PKOP. Mówca wskazał na motywy, które skłaniają wszystkich patriotycznie myślących obywateli Polski Ludowej do decyzji jednoczenia się w przyszłej kampanii wyborczej na platformie Frontu Narodowego. Sprawa odbudowy naszego kraju, problem scalania Ziem Zachodnich z Rzecząpospolitą i wreszcie widmo wojennego zagrożenia — oto czynniki dostatecznie mobilizujące do postawy jedności nawet wówczas, gdy różnice światopoglądowe w wielu innych sprawach każą szukać twórczych rozwiązań na drodze konfrontacji odmiennych stanowisk. Ks. prof. Dąbrowski napiętnował polityczne nadużycia religii jakie miały miejsce podczas niedawnego Katholikentagu w Berlinie, kiedy pod hasłem „Bóg żyje" ustawiono „drogowskazy do Wrocławia, Szczecina i Olsztyna". „Obrona pokoju — mówił ks. prof. Dąbrowski — to nakaz sumienia. I nie jest dla mnie ważne kto go broni wraz ze mną. Ważne jest, że jako katolik bronić go muszę. Ks. prof. Dąbrowski z całą siłą wyraził przekonanie, że przyjęcie programu Frontu Narodowego w aktywności obywatelskiej katolików polskich, „w niczym nie naruszy wewnetrznej struktury Kościoła Katolickiego ani też jego hierarchialnej organizacji".

Najbliższy okres czasu przyniesie wnioski Prezydium Ogólnopolskiego Komitetu Wyborczego Frontu Narodowego w kwestii programu wyborczego. W tej chwili jedno już zdaje się nie podlegać wątpliwości. Kampania wyborcza musi stać się okazją dla wszystkich obywateli Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej do pogłębienia ich odpowiedzialności społecznej i wzmożenia politycznej dojrzałości.

CAŁY NARÓD buduje SWOJĄ STOLICĘ

Rudolf BUCHAŁA

Drogi współczesnej demokracji chrześcijańskiej (I)

JEDEN z najwybitniejszych znawców problematyki chrześcijańskiej demokracji na Zachodzie Etienne Borne*) pisał niedawno temu: „Demokracja chrześcijańska ma do spełnienia dwa zasadnicze zadania: istnieć i zachować rację swego istnienia". Czy może zachować rację swego istnienia ośrodek polityczny, który za swoje zasadnicze zadanie uważa własne istnienie a nie służebność jakiemuś ideałowi społeczno-politycznemu czy gospodarczemu? A jeżeli samo istnienie jest zasadniczym zadaniem tego ośrodka, to czyż nie świadczy to o tym, że przestał on. w tym wypadku chrześcijańska demokracja, być wyrazem tzw. zamówienia społecznego?

W niektórych krajach na zachodzie Europy chrześcijańska demokracja kieruje jednak oficjalnie życiem państwowym. Można by sobie wyobrazić prawie jednolitość programów i działalności praktycznej włoskiej, francuskiej, niemieckiej czy belgijskiej demokracji chrześcijańskiej. Wszak przymiotnik „chrześcijańska" powinien być jednoczącą przeciwwagą do rozbieżności jakie mogą powstać przy interpretacji pojęcia „demokracja". Istnieją natomiast różnice dość zasadnicze. I nie dziwimy się temu kiedy czytamy, że oficjalna partia katolicka w Belgii grupuje konserwatystów, zwolenników silnej władzy, ustroju półkorporacyjnego, demokratów i różnych innych a podobnie dzieje się przede wszystkim w Niemczech Zachodnich. Nie mamy również pretensji o to, że posiadają oni swoje przekonania polityczne i społeczne, ale mamy prawo zapytać: czy wolno wszystkie te różnice i sprzeczności osłaniać ważkim słowem „chrześcijańska"? Czy wolno przed rzeczywistością nadprzyrodzoną w sposób lekkomyślny brać odpowiedzialność za osłanianie zmiennych programów politycznych i społeczno-gospodarczych przez słowo „chrześcijański" i to tylko z tej przyczyny, że programy te są anty-socjalistyczne, jak podaje Walter Dirks — „niemiecki Mounier" — pisząc: „Nie może zrozumieć istoty ideologii i struktury obecnej CDU, kto nie weźmie pod uwagę, że jest to stronnictwo antysocjalistyczne".

WE WŁOSZECH

WE Włoszech de Gasperi jest u władzy od roku 1945. Wyborcy, którym to zawdzięcza byli „nastawienia bardziej konserwatywnego niż religijnego", jak określił to Maurice Vaussard, dając tym samym świetną charakterystykę włoskiej partii demo-chrześcijańskiej i jej bazy społecznej. Baza ta w swym konserwatyzmie jest tak różnolita, że można powiedzieć, iż największą troską kierownictwa partii de Gasperi'ego jest utrzymanie spójności masy wyborców do niedalekich już wyborów. To zaś samo przez się nie pozwala na żadną zdecydowaną linię polityczną, a nawet teoretyczną. Dlatego mimo patetycznego oświadczenia de Gasperi'ego: „Jesteśmy narodowym stronnictwem centrowym, które skłania się do lewicy", rację ma Vaussard gdy twierdzi, że np. chęć przyśpieszenia reformy rolnej przeprowadzanej przez rząd włoski wywołałaby niesamowitą burzę. Ten jeden fakt, wśród licznych innych, potwierdza to, że kierunek ciążenia chrześcijańskiej demokracji Włoch — i nie tylko Włoch — jest inny niż wydaje się de Gasperi'emu. Jest to wyraźny, szybki i zdecydowany kurs na prawo, co jest równoznaczne z oderwaniem się od mas ludowych.

Niebezpieczny ten objaw dostrzegają bardziej ideowe grupy w partii demo-chrześcijańskiej Włoch, grupy niestety nieliczne i konsekwentnie odsuwane od wpływu na kierunek rozwojowy chrześcijańskiej demokracji przez jej obecne kierownictwo. Chodzi tu przede wrzystkim o grupę, której przewodzi profesor prawa na katolickim uniwersytecie w Mediolanie, Dossetti. On i jego przyjaciele widzą jasno najgroźniejsze zwichnięcie linii chrześcijańskiej demokracji, zwichnięcie, które wciąż wykazują również komuniści i lewicowi socjaliści, mianowicie rozłam między klasą robotniczą a chrześcijańską demokracją. Sytuacja jest dość oczywista. Partia, która musi ciągle zawierać sojusze ze stronnictwami jeszcze bardziej prawicowymi, aby utrzymać się u władzy, z konieczności traci oczywiście z biegiem czasu wszelkie wpływy wśród robotników, a tym samym pozbawia się jakiejkolwiek twórczej roli na przyszłość w życiu społecznym.

W ten sposób aktualna taktyka polityczna każe włoskiej partii demo-chrześcijańskiej zrezygnować z najbardziej palącego problemu krajów kapitalistycznych, problemu na wskroś moralnego, jakim jest sprawa niedoli proletariatu. I znów rysuje się groźny obraz wiązania ważkiego słowa „chrześcijańsk" z mieszczaństwem i jego interesami. Dossetti i jego przyjaciele zostali usunięci z kierownictwa partii a redagowany przez jego zespół miesięcznik „Kroniki Społeczne" przestał się ukazywać.

Inną grupą zasługującą na uwagę ze względu na dostrzeganie wątpliwej drogi jaką kroczy partia de Gasperi'ego jest zespół związany z osobą redaktora tygodnika „La Via" Igino Giordani, gorącego zwolennika pokoju. Jego wystąpienia w parlamencie przynoszą mu często aprobatę komunistów i lewicowych socjalistów — powód dostateczny, aby mu przynieść dezaprobatę prawicowego kierownictwa własnej partii, która według słów de Gasperi'ego nie ma się ani „sklerykalizować" ani „sproletaryzować", przy czym przez to drugie wyrażenie rozumie on „zacofaną partię klasową". Niestety, włoskie stronnictwo demo-chrześcijańskie stało się podobnie jak francuskie, belgijskie i zachodnio-niemieckie taką właśnie zacofaną partią klasową reprezentującą dzisiaj interesy burżuazji.

WE FRANCJI

WE Francji chrześcijańską demokrację reprezentuje jak wiadomo MRP z dwoma i pół miliona wyborców. Praktykujących katolików, zaś jest we Francji około 4 miliony. Nie zachodzi zatem żaden specjalny związek między praktyką religijną a chrześcijańską demokracją jak słusznie zauważa Jacques Fauvet, tym bardziej, że MRP głosy swoje zdobywało często w okolicach, gdzie ludność jest wyznaniowo obojętna. Tu tkwi pewna różnica między chrześcijańską demokracją Francji a Włoch. Albowiem we Włoszech mimo wielkiego zróżnicowania społecznego można mówić o pewnej jednolitości wyznaniowej zwolenników tego stronnictwa. We Francji „nie ma i być nie może, z wyjątkiem Bretanii i Alzacji, masowego stronnictwa katolickiego, ani ludowego ruchu chrześcijańskiego, jak to się dzieje w Niemczech, czy we Włoszech — jak słusznie pisze J. M. Domenah — a to dlatego, że katolicyzm we Francji utracił swoje podłoże socjologiczne: nie ma bowiem już ludu chrześcijańskiego ani też struktury narodowej chrześcijańskiej".

Cechą znamienną MRP jest stosunkowo młody wiek jego członków oraz zgodność poglądów większa niż w innych stronnictwach demo-chrześcijańskich. Ale „ruch ten posiada ideał, brakuje mu jednak wciąż doktryny" — pisze Fauvet. Ten brak doktryny nie jest natomiast jakąś cechą wyróżniającą stronnictwo francuskie. Na ten sam brak skarżą się w Belgii, dotyczy to również Niemiec zachodnich i — jak już wiadomo — Włoch. Jest to zjawisko tym groźniejsze, gdy pomyśleć, że są to stronnictwa trzymające ster władzy państwowej i uchodzące przy tym za chrześcijańskie i mające pretensje do tworzenia jakiegoś ideału „państwa chrześcijańskiego".

Dla nas ten brak nie wydaje się dziwnym. Wszystkie te partie znalazły się u władzy w okresie, gdy rozwój kapitalizmu poszedł już tak daleko naprzód, że jego prawa ekonomiczne zupełnie opanowały życie społeczno-gospodarcze tych krajów. Partie te nie mogą więc realizować jakichś swoich niezależnych programów, ale po prostu zostały wciągnięte w rydwan ogólnego rozwoju kapitalizmu, dla którego świadomych stronników zasłona chrześcijańsko-demokratyczna jest naturalnie czymś, na co z chęcią się godzą.

Jest to twierdzenie wymagające uzasadnienia. Wobec tego musimy sobie uświadomić: kto prowadzi w tej chwili politykę francuską zmierzającą do remilitaryzacji Niemiec zachodnich, jaki rząd kieruje sprawami Afryki Północnej, kto wysyła ekspedycje wojskowe do Indochin, przeciwko jakiemu rządowi demonstrują głodni robotnicy we Francji? Nie dziwimy się, że MRP, CDU czy PSC nie może realizować własnego programu, czy też rozwijać własnej doktryny z powodu specyficznego składu sił popierających partie demo-chrześcijańskie, mamy natomiast znów prawo zapytać, czy wolno nadużywać chrześcijaństwa na pokrycie rzeczywistości społeczno-gospodarczej kapitalizmu monopolistycznego?

Tu tkwi jakieś błędne koło współczesnej demokracji chrześcijańskiej. Ma ona ambicję realizowania chrześcijańskiego programu społecznego a tymczasem polityka jaką prowadzi nie różni się wiele albo nawet wcale od polityki różnych innych partii mieszczańskich, obojętnie czy nazywają się republikańskimi, czy demokratycznymi, liberalnymi czy konserwatywnymi.

Oto bardzo charakterystyczne szczegóły potwierdzające naszą tezę a podane przez społecznie radykalne pismo katolików francuskich „La Quinzaine". Omawiając działalność komitetów pracowniczych będących teoretycznie reprezentacją pracowników i mających łagodzić konflikty między robotnikiem a pracodawcą „La Quinzaine" pisze, że we wszystkich zakładach pracy, gdzie zagadnienia te zbadano, stwierdzono, iż kierownictwo fabryk utrudnia albo uniemożliwia zebrania; odmawia rozpatrywania próśb i spraw przedkładanych przez komitety; grozi, szantażuje i zwalnia z pracy tych członków komitetów, którzy przejawiają jakąkolwiek aktywność; robi różnego rodzaju inne utrudnienia. Nie inaczej będzie się zresztą przedstawiała praktyka uchwalonego niedawno dzięki poparciu CDU/CSU tzw. „Betriebsverfassungsgesetz" w parlamencie w Bonn. I inaczej być nie może, gdyż nie ma na obecnym etapie rozwoju społeczno-gospodarczego tzw. „trzeciej" drogi rozwiązania problematyki ustrojowej.

W NIEMCZECH ZACHODNICH

POUCZAJĄCE i niezmiernie charakterystyczne są tu losy środowiska postępowych katolików „Ende und Anfang", które działało w latach 1945—1948 w Niemczech zachodnich i zostało zawieszone w swojej działalności przez okupacyjne władze amerykańskie. Grupa ta jasno i wyraźnie stawała po stronie socjalizmu, ostro widziała przeciwieństwo dwóch światów — mieszczańskiego i proletariackiego zdając sobie sprawę po czyjej stronie jest słuszność.

Zespół ludzi, który niedwuznacznie i zdecydowanie stawał w szeregu walczącego o swoje równouprawnienie proletariatu przeciwko zniekształceniu porządku społecznego przez ustrój kapitalistyczny, nie mógł oczywiście liczyć na tolerancję ze strony burżuazji i został zmuszony do zaprzestania swej działalności, podczas gdy CDU/CSU najswobodniej rozwija swoją działalność.

Najpierw sama nazwa. Podwójne oznaczanie demokracji chrześcijańskiej przez CDU/CSU pochodzi stąd, że w Bawarii słowo „demokratyczna" napotykało na opory, jako mające posmak antyklerykalizmu. Dlatego zastąpiono je słowem „społeczna". Stąd też stronnictwo to występuje pod podwójnym określeniem CDU/CSU.

W początkowej fazie swego istnienia, tj. tuż po ostatniej wojnie CDU/CSU była stronnictwem lewicowym, „chociażby dlatego — jak pisze Walter Dirks — że pozycje prawicy nie były w ogóle reprezentowane". Zbyt świeżo miano bowiem jeszcze w pamięci nacjonalizm niemiecki i nie dopuszczono do legalnego formowania się ugrupowań prawicowych.

Specyfiką chrześcijańskiej demokracji Niemiec jest to, że skupia ona katolików i protestantów, przy czym stosunek tych dwóch wyznań jest różny w zależności od prowincji. Na południu Niemiec zachodnich jak i w północnej Westfalii i Nadrenii przeważają katolicy, a nawet prawie nie ma tam protestantów. W północnych prowincjach protestanci mają wyraźną przewagę. Prawie że wyłącznie protestancka jest również CDU w Niemieckiej Republice Demokratycznej.

— Kim są zwolennicy CDU/CSU?

Aleksander Rogalski daje nam tu następujące informacje:

„Politycznie złożyły się na Unię najrozmaitsze żywioły, które z początku łączyło to jedynie z sobą, że były zdecydowanie antykomunistyczne i antyradzieckie. Nawet założyciele partii widzieli rację istnienia jej w tym, ażeby bezdomnym wyborcom z dawnych partii prawicowych dać nową polityczną ojczyznę dzięki założeniu CDU".

Z tych przyczyn do Unii weszli nawet ci, dla których chrześcijaństwo stanowiło tylko szyld czy afisz, nie wymagający od zwolenników realizowania konkretnej treści ideowej, a nawet było wygodnym parawanem, za którym ukryć można było cele i działania często wręcz przeciwne zasadom chrześcijaństwa.

Czy przy takim składzie zwolenników i członków CDU/CSU może być w ogóle mowa o jakimś ustalonym, jasno wytyczonym kierunku działania? Jakaż może być linia programu stronnictwa, które jest zbieraniną rozbitków z niewznowionych partyj prawicowych?

Jedna tylko: żadna!

Jeśli tak jest, to czy w ogóle warto stawiać tu problem, co w takim programie jest chrześcijańskie?

Z biegiem czasu, kiedy to „sojusznicy torowali drogę polityce reakcji" — jak pisze Dirks — zaczęły się zresztą wyodrębniać poszczególne ugrupowania z CDU/CSU i formować partie prawicowo-nacjonalistyczne, pociągając za sobą chrześcijańską demokrację mocno w prawo.

Obserwujemy analogiczny proces jak we Francji a zwłaszcza we Włoszech, a to przede wszystkim po ukonstytuowaniu się rządu Adenauera. W tej chwili nawet prawicowi socjaliści z SPD są w stosunku do CDU/CSU daleko na lewo. Socjal-demokracja zaś stała się wrogiem numer jeden CDU/CSU.

Walter Dirks komentuje tą ewolucję chrześcijańskiej demokracji w Niemczech zachodnich słowami, które ukazują ją taką jaką jest w chwili obecnej: „Fakt ten dopomógł do skrystalizowania w samym łonie CDU świadomości przynależności klasowej, przynależności do ugrupowań mieszczańskich".

Do słów tych dodajemy tylko to, że w tym samym momencie dalsze nazywanie stronnictwa Unią Chrześcijańsko-Demokratyczną stało się świadomym nadużyciem religii chrześcijańskiej!

— A oto co pisze Walter Dirks o programie chrześcijańskiej demokracji w Niemczech zachodnich, a co uzasadnia mocno nasze wątpliwości nie tylko co do chrześcijańskości tego programu, ale nawet jako takiej niezależności:

„CDU nie posiadała własnej koncepcji politycznej. Lewica (w CDU — uw. m.) nie potrafiła prowadzić swojej koncepcji. Przymierze z mieszczaństwem, liberalne zasady ekonomiczne i antysocjalizm CDU, wpływy Amerykanów i reformy walutowej doprowadziły do przeprowadzenia programu gospodarczego w duchu liberalnym. Ta polityka ekonomiczna otrzymała nazwę (podkr. m.) „polityki społecznej", trzeba było bowiem pamiętać o tradycjach społecznych dawnego Centrum. Mieszanina „katolicyzmu społecznego" z „ekonomią liberalną" i z „mieszczańskim protestantyzmem" pozwoliła co prawda na przeprowadzenie pewnej polityki pragmatycznej, ale nie na wprowadzenie w życie jakiejś koncepcji politycznej. Na płaszczyźnie ideologicznej

(Dokończenie na str. 9)

Dnia 10 sierpnia 1952 r. zasnął w Bogu

Ś. † P.

Ks. Prałat Piotr Trocki

ur. 25 kwietnia 1874 r. w Kierdanach

Kapłan światły, niezmiernej dobroci

Pokój Jego świetlanej duszy!

Juliusz DOMAŃSKI

„DE OPTIMO GENERE INTERPRETANDI"

(Na marginesie lektury listów św. Hieronima)

„Ego enim non solum fateor, sed libera voce profiteor me in interpretatione Graecorum — absque Scripturis sanctis, ubi etiam verborum ordo mysterium est non verbum e verbo, sed sensum exprimere de sensu".

Św. Hieronim, *Epist.* 55,7

LEŻY przede mną książka w fioletowej okładce; białe litery na niej usłużnie informują, że pod okładką kryją się listy św. Hieronima po polsku.

Listy świętego Hieronima... Przez ogrom piętnastu wieków przemawia do nas ten niezwykły pustelnik, jeden z największych wśród tych, co na głębokim i trwałym fundamencie nauki Chrystusa kładli pierwsze — jakże mocne i piękne — cegły kultury chrześcijańskiej. Przemawia po polsku i tak zrozumiale, jak ktoś nam bliski, ktoś z naszych czasów. Nie oddalajmy się od niego i czytajmy te wierne obrazy duszy ludzkiej — listy.

Nowy przekład z literatury starożytnej, jeśli nie jest opatrzony nazwiskiem znanego literata, budzi tyleż ciekawości co obawy, czy przypadkiem nie zawiedzie, nie rozczaruje. Ileż to razy sławne nazwisko autora starożytnego każe nam sięgnąć po przekład, lecz gdy go otworzymy — *„nascetur ridiculus mus"*.—Ale tym razem bądźmy wolni od obawy. Książka w fioletowej okładce nie zrazi nas dziwacznością języka, nie każe nam pod nieudolną formą z trudem doszukiwać się treści. Myśli świętego Doktora nie będziemy wyłuskiwać z polskich słów — przekład przedstawi nam je tak wyraźnie, jak wyraźnie przemawiały łacińskimi słowami do tych, co żyli współcześnie z pracowitym mnichem i otrzymywali od niego te same listy, które my dziś czytamy.

Lektura interesująca i pożyteczna, a jakże uprzyjemniona jasnością przekładu! Poprzez krótkie bileciki prywatne, poprzez piękne hagiografie, poprzez genialne traktaty teologiczne, egzegetyczne, moralne, poprzez spokojny wykład i namiętność polemik, słodycze pochwał i gorzkie szyderstwa, łagodne napomnienia i gromy gniewu —poprzez tę mieniącą się mozaikę, na której ręka skryby wymalowała żywy obraz żarliwego serca i trzeźwego umysłu — przechodzimy do listu, w którym wypowiada się Hieronim — literat i filolog w jednej osobie. To słynny list do Pammachiusza, któremu wydawcy nadali kolejną liczbę LVII i tytuł *„De optimo genere interpretandi"* — o najlepszym rodzaju tłumaczenia.

Jest właściwie apologią. Niedawno przetłumaczył Hieronim dla znajomego mnicha Euzebiusza z Kremony list biskupa Salaminy Epifaniusza do Jana, biskupa jerozolimskiego. Niewykończony przekład dotarł do niewłaściwych rąk i Rufinus, wróg z przyjaciela, głosi wszem wobec i każdemu z osobna, jakie to błędy są w przekładzie tego uczonego Hieronima. Hieronim w liście do Pammachiusza rozprawia się z zarzutami i oszczerstwami, a przy tej okazji daje jedną z najlepszych wśród przekazanych przez starożytność teorii przekładu. Apologia dotarła dalej niż do Pammachiusza i Rufina. Poprzez piętnaście wieków dotarła do nas. I trzeba stwierdzić, że św. Hieronim nie musi się wobec nas wstydzić swojej teorii przekładu.

Niech mnie lektura tego listu upoważni do rzucenia kilku luźnych uwag na temat przekładów ze starożytnych języków klasycznych.

Potrzeba dobrych przekładów z literatury antycznej greckiej i łacińskiej wzrasta z dnia na dzień. Już do bardzo dalekiej przeszłości należą te czasy, kiedy jeden ze starożytnych języków klasycznych spełniał w całej Europie, a więc i w Polsce, rolę języka literackiego wykształconych klas społeczeństwa. Bliżej nas leży w przeszłości taki stan, w którym część inteligencji posługiwała się łaciną i greką zdobytą w szkole w stopniu wystarczającym dla potrzeb codziennych, ale i ten stan już minął i — jak się zdaje — nie wróci. Dziś, kiedy znajomość łaciny maleje wśród inteligencji z każdym dniem, a znajomość greki jest własnością niewielu tylko jednostek, potrzeba przekładów staje się w naszym życiu kulturalnym nieodzowna.

Potrzeba przekładów, lecz jakich? Jaki ma być ich cel i co powinny one dawać współczesnemu czytelnikowi? Odpowiedź na te pytania jest tak oczywista, że aż wydaje się zbyteczna. Każdy wie, że przekład ma udostępnić dzieło literackie temu, kto nie zna języka jego oryginału. W tym prostym i oczywistym dla każdego stwierdzeniu mieści się też najważniejszy przepis dla tłumaczy. Bo jeśli przekład ma spełnić wobec tych, co nie znają języka oryginału, takie samo zadanie, jakie wobec znawców języka spełnia oryginał, to musi on być nie tyle surogatem, ile — żeby się tak wyrazić — ekwiwalentem oryginału. Pytanie, czy dobry przekład jest także, jak oryginał, dziełem literackim, jest pytaniem retorycznym. Odpowiedzieć na nie można tylko twierdząco: inaczej z wyżej zaznaczonego stanowiska, które stanowi chyba *communis opinio*, popełnilibyśmy absurd. I do tej twierdzącej odpowiedzi trzeba dodać jeszcze życzenie, by dobry przekład był dziełem literackim o tej samej co oryginał wartości.



Albrecht Dürer — Studium czytającego św. Hieronima

Lecz na czym polega ta równowartość i jak ją osiągnąć? Kiedy U. v. Wilamowitz wydawał w r. 1891 swój przekład Eurypidesowego *Hipolita*, postawił w przedmowie jako wskazówkę dla tłumaczy postulat takiego przekładu, który by u współczesnego czytelnika wywołał takie wrażenia, jakie budził w starożytnych Grekach oryginał. Postulat piękny, ale czy dość trzeźwy? Być może, że współczesny czytelnik, któremu by przedstawiono wszystkie przekazane „wrażenia" starożytnych Greków wywołane taką czy inną tragedią, przeżyłby przy wielkiej sile wyobraźni wrażenia podobne, może nawet identyczne, ale byłyby one przecież wynikiem sugestii, byłyby w pewnym sensie narzucone, więc nieszczere i nieprawdziwe. Trzeba by się poważnie zastanowić, czy w ogóle jest możliwe dokładne odtworzenie w nas przeżyć emocjonalnych ludzi sprzed dwudziestu kilku wieków czy porównywanie z doznaniami tamtych ludzi, przeżywanymi w związku ze współczesnym im dziełem literackim, naszych doznań, wywołanych tym samym dziełem, nie jest, jeśli się w tym zestawieniu chce znaleźć identyczność owych doznań, źle postawionym zagadnieniem. Któż śmie twierdzić, że czytelnik współczesny, dla którego życie i język starożytnych Greków nie ma żadnych tajemnic, przeżywa przy czytaniu Aischylosowych *Hiketyd* te same uczucia, jakie towarzyszyły choćby o trzysta lat młodszemu od Aischylosa czytelnikowi greckiemu, żeby już nie mówić o współczesnym autorowi widzu oglądającym jego tragedię w teatrze? Jest nawet rzeczą bardzo wątpliwą, czy wrażenia pana X, znającego doskonale język grecki i czytającego *Hiketydy* po grecku, będą dokładnie odpowiadać wrażeniom współczesnego tamtemu pana Y, który nie umiejąc po grecku poznał te same *Hiketydy* nawet z doskonałego, postulowaną przez Wilamowitza doskonałością, przekładu. Lepiej nie opierać się na śliskim kryterium niesprawdzalnej identyczności przeżyć emocjonalnych u różnych ludzi. Wystarczy chyba, jeśli w jednej osobie i przekład, i oryginał wywołają te same przeżycia, przede wszystkim estetyczne.

Zresztą nie kryteria starożytnych, a w każdym razie nie te subiektywne i niesprawdzalne, trzeba brać pod uwagę przy ocenie przekładu. Gdybyśmy się chcieli tłumaczonym dziełem zachwycać jedynie tak, jak się nim zachwycali czytelnicy starożytni, musielibyśmy nie tylko wyzbyć się naszych tegoczesnych upodobań. — Musielibyśmy, co ważniejsze, stwierdzić, że tłumaczone dzieło posiadało jedynie wartości efemeryczne, przemijające równo z końcem epoki, w której powstało, że było czymś cennym tylko w czasowym i lokalnym środowisku twórcy. W ten sposób doszlibyśmy do przekonania, że dzieło to dla nas nie ma żadnej wartości, że jeśli się nim zajmujemy, to idziemy wstecz i zrywamy z życiem. Prawdziwość takiego wniosku, wtrąciłaby w grób zapomnienia naszą przeszłość kulturalną. Jest to oczywiste dla trzeźwo myślących ludzi. Na szczęście wniosek ten wypływa z fałszywego założenia i w zagadnieniu wartości przekładu nie może mieć żadnego znaczenia. Dobrze jest wiedzieć, jak oceniali starożytni to czy inne dzieło literackie, ale lepiej jeszcze jest umieć z ich ocen wybrać te, które odnoszą się do wartości istotnych, trwałych, i na ich podstawie wytworzyć sobie pogląd własny, pogląd człowieka współczesnego, wzbogacony historyczną perspektywą przynajmniej o tyle, o ile zubożyła go czasowa odległość.

RÓWNOWARTOŚĆ przekładu i oryginału trzeba zatem oceniać przede wszystkim ze stanowiska człowieka współczesnego, i to w dwóch aspektach. W jakich? Użyjmy banalnego frazesu: „treści i formy". Pierwszy rysuje się jasno i nie nastręcza żadnych trudności. Przekład, który w zakresie treści nie odtwarza jak najdokładniej oryginału, jest fałszerstwem wypływającym ze złej woli albo z nieumiejętności tłumacza (nie odnosi się to oczywiście do tzw. przeróbek literackich). Ale jeśli idzie o formę, przez którą chcielibyśmy tu najogólniej rozumieć sposób wyrażania treści, wyżej zaznaczone stanowisko nasuwa cały szereg trudności, które trzeba rozważyć tym dokładniej, że treść i sposób jej wyrażania stanowią nierozłączny kompleks, bez którego niepodobna sobie wyobrazić literackiego dzieła.

Jest wiele polskich przekładów z literatury starożytnej, w których pewne ustępy nie mające żadnego piętna czasowego, jak np. opis krajobrazu, pozwalają znawcy języka oryginału, który nigdy tego ustępu nie czytał, bez trudu zgadnąć, z jakiego języka go tłumaczono. Kto się natrudził nad dosłownym, szkolarskim tłumaczeniem Platona czy Ksenofonta, temu jedno na chybił trafił z tekstu przekładu wyrwane zdanie, zachowujące właściwy mowie greckiej, a obcy polszczyźnie anakolut, powie, że zdanie to tłumaczono z oryginału greckiego. Jeśli to zdanie wskutek zachowania w nim obcej mowie polskiej właściwości było niejasne, znawca języka potrafił je zrozumieć dzięki swoim umiejętnościom. Dla przeciętnego czytelnika, który zna tylko język przekładu, miejsce zniekształcone w imię źle pojętej dokładności może być nierozwiązalną zagadką. Takich zagadek i wyrażeń z nieprawdziwego zdarzenia w rodzaju „ścięty co do głowy" lub „mgła zakryła go pod względem oczu" jest w naszych przekładach wiele. Kto by zadał sobie trud wyszukania w nich materiału do „camera obscura", temu owa „camera" rozrosłaby się do rozmiarów grubego tomu. Na barwnych łanach poezji kwitnie najwięcej okazów tej zdegenerowanej flory. Biada poecie starożytnemu, który wpadł w ręce złego tłumacza: zginie tym tragiczniej, że bez sławy, wzgardzony przez czytelnika, który za grubą zasłoną nieudolnego przekładu nie był zdolny dojrzeć ani cienia jego poezji. Ileż razy wzniosłą lirykę przekładano na jarmarczne figielki. Któż nie uśmiechnie się czytając Czubkowe „Kupidynów mać sroga" mające być tłumaczeniem horacjańskiego *„mater saeva Cupidinum"?* — A niewiele lepiej rzecz ma się na gruncie prozy. Treść wspaniałego łacińskiego czy greckiego okresu wyrażającego z finezją najgłębsze subtelności myśli ginie wśród nieudolnej frazeologii narzuconej przekładowi przez styl oryginału, którego tłumacz nie umiał przefiltrować przez współczesny sobie sposób wyrażania myśli. Obce konstrukcje, patologiczny porządek słów, wyrażenia, których by na próżno szukać u pisarzy polskich — robią z przekładu monstrum, na które bez odrazy patrzeć nie podobna.

Dlaczego tak się dzieje? Kto winien — tłumacz, czy może jakaś *vis maior?* Istnienie dobrych przekładów każe winę przypisać tłumaczowi.

Właściwie trzeba by na tym miejscu zrobić jedno ważne zastrzeżenie. Każdy chyba, nawet ten, kto nigdy niczego nie tłumaczył i tłumaczyć nie zamierzał, zdaje sobie sprawę, jak bardzo trudną rzeczą jest tłumaczenie. Zrozumienie obcego tekstu aż do najdrobniejszych szczegółów, odczucie go i przeżycie to tylko jedna część tej pracy, wcale nie łatwa. Trudności rosną w miarę odległości czasowych i przestrzennych, w miarę różnic kultury i światopoglądu między autorem i tłumaczem. Pokonanie ich to tylko połowa drogi. Drugą połowę — kto wie, czy nie trudniejszą — zaczyna pokonywać tłumacz z chwilą, gdy to, co w obcym tekście zrozumiał i odczuł, chce własnym językiem przekazać swoim czytelnikom. Ale czy powinien to być rzeczywiście jego własny język i w jakim stopniu własny? Jeśli tłumacz nie ma własnego języka, własnego sposobu wyrażania myśli swoich czy cudzych i wskutek tego niewolniczo idzie za stylem oryginału, tworzy w swoim przekładzie dziwolągi niedorzeczne i szpetne. Jeśli używa własnego stylu w takim stopniu, że nic poza treścią myśli nie zostawia w przekładzie, popełnia oszustwo, specjalnego rodzaju plagiat, który tym tylko różni się od zwykłych plagiatów, że wciąż podaje źródło. Tak i tak przekład nie jest tym, czym być powinien.

Ten dylemat prowadzi do wniosku, że trzeba wybrać coś pośredniego, lecz nie ten „złoty środek", który byłby tylko uproszczeniem. Nie wystarczy stwierdzić: trzeba tłumaczyć najczystszym ojczystym językiem, ale w miarę możliwości zachować wszystko z oryginału. Chodzi właśnie o tę miarę możliwości.

WRÓĆMY jeszcze do tych „dokładnych" przekładów, których bez odrazy czytać nie można. Nie tak dawno Jan Parandowski w publicznym odczycie (drukowanym w *„Kamenie* 85—86, 1952) ośmieszył „tych zacnych filologów, którzy lata emerytury, zamiast polewać bratki w ogródku, oddawali Aischylosowi i Sofoklesowi, łudząc się beznadziejnie, że pół wieku obcowania z gramatyką i słownikiem daje klucz do sezamów poezji" i choć stawiał on tłumaczowi przede wszystkim postulat wiedzy i rzetelności, nie omieszkał do nich dodać jeszcze jednego: zdolności literackich. Tak. Wiedza nabyta w szkole nie może i nie powinna być dla tłumacza „literą, co zabija". Nie wolno mu w imię tego, że wniknął (nieraz jakże płytko i pozornie!) w arkana łacińskiej składni i stylistyki i wskutek tego potrafi najbardziej niezwykłe i wyszukane zwroty z matematyczną dokładnością oddać w języku ojczystym kalecząc i wypaczając jego naturalne właściwości, nie wolno mu w imię tej formalistycznej wiedzy postępować tak, jak gdyby przekład polski miał na celu wbicie czytelnikowi w pamięć wszystkich osobliwości tamtego języka. Nie wolno przekładać gramatycznych konstrukcji, jeśli ich uwydatnianie prowadzi do zagubienia treści. Nie wolno oddawać samych słów, jeśli się przez nie nie wydobywa myśli.

Jeśli nie wolno tak postępować, to jakże jest możliwy „ekwiwalent" formy? Żeby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba uciec od nic nie mówiących ogólników i rozważyć pewne konkretne rzeczy. Różnice w zakresie sposobów wyrażania tych samych treści myślowych między różnymi językami w ogóle, a między starożytnymi i nowożytnymi w szczególności są chyba oczywiste dla każdego, kto zna więcej niż jeden język. Starożytne figury retoryczne, jak sławne *hen dia dyoin, enallage adiectivi, hysteron-proteron* itp, były swego czasu pierwszorzędnymi i powszechnie używanymi ozdobami, dziś należą do osobliwości językowych i raczej zaciemniałyby tekst przekładu, niżby go zdobiły. Inne ozdoby stylu, jak przenośnia czy porównanie, okazały się trwalsze i służą dziś nawet tym, którzy i jednego zdania po łacinie czy po grecku nie przeczytali. Jeśli się zważy pewne, właściwe starożytnym językom szczegóły gramatyczno-stylistyczne, których nie sposób tu cytować, rozbieżność między nimi a współczesnym językiem polskim okaże się tak znaczna, iż zgoła niemożliwą jest rzeczą wyrażać się dziś dokładnie tak samo, jak się dwadzieścia wieków temu wyrażali starożytni Grecy lub Rzymianie. Wniosek stąd prosty: Tłumacz, jeśli ma stworzyć (a raczej odtworzyć) dzieło literackie, a nie odstraszający dziwoląg, nie tylko może, ale i powinien zrezygnować z niewolniczego kopiowania tych stylistycznych właściwości języka, epoki, autora, które tak dalece odbiegają od sposobu wyrażania się w jego języku, epoce, środowisku, że ich tam bez wielkiego zamieszania wtłoczyć nie można. A rezygnując z tak pojętej wierności winien przy tej przede wszystkim okazji wykazać się oryginalnymi zdolnościami literackimi, własną inwencją i uzupełnić nimi te konieczne braki, oczywiście w stopniu nie wyższym, niż tego wymaga potrzeba.

Niestety, o tym się tak rzadko pamiętało. A równie rzadko pamiętało się o właściwym zadaniu i przeznaczeniu przekładu, o tym, że przekład ma być pomostem łączącym albo dwa dalekie światy, albo świat stary z nowym. Zapominało się najczęściej o s p o ł e c z n y m j e g o z n a c z e n i u, w szczególności, zwłaszcza jeśli idzie o przekłady z literatur antycznych, o tym, że nie dla tych niewielu, którzy mogą czytać oryginał, przeznaczony jest przekład, ale dla rzeszy nieznających ani języka, ani kultury antycznej, czytelników, dla których przekład jest może pierwszą okazją do zetknięcia się z tamtym światem, o którym dotąd albo nic zgoła, albo bardzo niewiele tylko słyszeli. Czy można ich pozbawić jasnego obrazu tamtych czasów w imię źle pojętego obowiązku sumienności? Nie można.

Trzeba się zgodzić z tezą J. Perreta *(Latin et culture, Desclée de Brouwer, [Bruges, 1946])*, który twierdzi, że właściwie pojęty przekład wskutek różnej struktury języków nie może być dokładną kopią oryginału. Dla zilustrowania i uzasadnienia tej tezy użyjmy porównania. Wyobraźmy sobie posąg z białego marmuru przedstawiający młodego chłopca, który trzeba skopiować w jakimś błyszczącym, ciemnym kamieniu, ale przy użyciu innych narzędzi niż te, którymi rzeźbiono marmurowy oryginał. Konieczność użycia — ze względu na różną oporność surowca — odmiennych narzędzi spowodowała, mimo że kopista starał się

(Dokończenie na str. 8)

¹ Św. Hieronim. L i s t y. I. Przełożył i przedmową opatrzył ks. dr Jan Czuj. „Pax". Warszawa, 1952.

DANIEL-ROPS

tłum. Jan POGORSKI

Rembrandt i Pismo Święte

NIEWIADOMO czy istniał kiedykolwiek artysta, który by wytrwalej i głębiej czerpał natchnienie, jak z życiodajnego źródła, ze Starego Testamentu. Poprzez całe olbrzymie dzieło Rembrandta zadziwiające niewyczerpanym bogactwem tematyki krąży prąd biblijny, stały choć utajony, na podobieństwo owych rzek podziemnych, które płyną kilometrami pod powierzchnią ziemi, dając się od czasu do czasu dostrzec przez wąską szczelinę, aż wreszcie tryskają potężną fontanną wody, zamieniając się na łagodny i majestatyczny strumień. Te rysunki biblijne, które Rembrandt przez całe swoje życie szczodrze rzucał na karty szkicownika, a których niezliczone egzemplarze figurują dziś we wszystkich muzeach świata, podobne są do tych krótkotrwałych momentów, przez które dostrzec można krążącą w szczelinie wodę duszy. Wielkie źródła natomiast, potężne wodotryski są to te jego arcydzieła jak „Dawid i Saul" z Mauritshuis, „Tobiasz" z Luwru i dramatyczna „Walka Jakuba z Aniołem", którą oglądać można we Friedrich Museum w Berlinie. Wszędzie jednak, nawet jeśli chodzi o najmniej starannie wykonany szkic, coś nieokreślonego przypomina nam, że tematyka biblijna nie jest tu bynajmniej przypadkowa, że nie jest tylko pretekstem do tej cudownej syntezy formy, kolorów i rytmu tak dla niego charakterystycznej, że wreszcie, wierność dawnym tradycjom biblijnym sięgała najgłębszych pokładów jego ducha.



Rembrandt — Chrystus w Emmaus

Jest rzeczą uderzającą, że Rembrandt zwraca się ku tematyce biblijnej właśnie po wielkim kryzysie duchowym z roku 1642 i lat następnych. Odtąd powracać będzie do Pisma Świętego bardzo często, choć z zupełnie nową intencją. Dysputa, która rozgorzała wokół „Nocnej Straży" pozbawiła go łatwych zarobków i złudzeń światowych. Śmierć Saskii wówczas właśnie pozostawiła go w rozpaczy i bólu za straconą miłością, wobec nicości tego świata. W jego życiu artystycznym następuje wówczas okres jak gdyby szukania drogi duchowej, dusza jego błądzi poomacku i wreszcie, kiedy Duch ją oświecił, znajduje drogę. Ten niezbyt przekonany chrześcijanin zacznie odtąd czerpać z Ewangelii pociechę, pewność i tematy do swych obrazów. Równocześnie jednak, ze zrozumieniem konieczności sięgania do źródła, które zbyt wielu chrześcijan zatraciło, Rembrandt zaczyna zwracać się do Starego Testamentu po odpowiedź na niektóre zasadnicze pytania. Odtąd sztuka jego będzie podporządkowana hierarchii pojęć, które przynosi nam Biblia.

Nie był to więc ślepy traf, ale, wprost przeciwnie, jeszcze jeden dowód dodatkowy duchowego prawa, które sprawdza się na każdym wielkim umyśle, że, w chwili, gdy to jest potrzebne, odnajduje, w okolicznościach i w samych sytuacjach życiowych, akurat to co mu jest nieodzowne. W środowisku żydowskim w Holandii XVII wieku, Rembrandt mógł znaleźć ten niepokój i głód absolutu, których zapewne nie zauważył u zamożnych mieszczan chrześcijańskich. Mógł poznać ucieleśnioną Jerozolimę, dla której Biblia była chlebem powszednim, a postacie Starego Testamentu czymś w rodzaju nieco starszych braci. Mógł słuchać w synagodze Portugalczyków rabinicznych śpiewów, które powolny rytm upodabnia do magicznych zaklęć mających zmusić Przedwiecznego do udzielenia odpowiedzi. Być może słuchał tych śpiewów właśnie w chwili, gdy w synagodze modlił się Spinoza, ów filozof szalony Bogiem. Tak więc obecność i bliskość Pisma Świętego były dla artysty bardzo żywe. Toteż gdy rysuje wielkich bohaterów Księgi Rodzaju, Królów i Sędziów, oglądane typy Żydów Amsterdamskich narzucają się jego pamięci w sposób zupełnie naturalny, jeśli zaś maluje siebie samego w postaci Mojżesza, to dlatego, że już upewnił się co do roli jaką odtąd odgrywa Zakon w najgłębszych tajnikach jego duszy.

Być może jednak, że w tym wysiłku sięgania do źródeł Rembrandt był posłuszny jednemu z najgłębszych żądań własnej sztuki. Malarstwo jest w istocie swojej przede wszystkim utrwaleniem mijającego czasu. Po to jednak, by nas prawdziwie wzruszyć, by narzucić się naszej duszy nie tylko jako migawkowe zdjęcie fotograficzne, trzeba żeby artysta dał nam odczuwać obecność czasu w momencie, który on chwyta i utrwala. Trzeba, abyśmy odczuli te formy, te kolory i te rytmy jako zawarte w wieczności, podtrzymywane przez rzeczywistość przeszłości i przeznaczonych na przetrwanie przyszłości. Oto najważniejsze cechy, których najczęściej brak naszemu malarstwu dwudziestego wieku i które promieniują w sposób oczywisty z takiego dzieła jak „Nocna Straż". Otóż zachodzi pytanie, czy to zajęcie miejsca w czasie, lub jeśli kto chce, to wzajemne przenikanie się historii z teraźniejszością, nie jest cechą charakterystyczną dla Żydów częścią składową całego Starego Testamentu? Żydzi są narodem, który istnieje od czterech tysięcy lat i który widzi swą przyszłość według przepowiedni usłyszanej w ekstazie przez pewnego koczownika z Chaldei, . na progu drugiego tysiąclecia, której nic dotąd — jak twierdzą Żydzi — nie zdołało obalić.

Tak więc biblijne karty Rembrandta są tą częścią jego twórczości, która nas najbardziej bezpośrednio porusza. Nie można pozostać obojętnym nie tylko przed „Saulem" z Mauritshuis, ale nawet przed takim czy innym pośpiesznym szkicem gdzie Abraham korzy się u stóp Przedwiecznego, albo na którym Jakub błogosławi swoim potomkom, z których narodzi się Chrystus. Czuje się, że człowiek, który kreślił na stronach swojego zeszytu tak doskonałe linie, doprawdy uważał Biblię za księgę swego żywota, za wieczne źródło skąd czerpała jego dusza. Czuje się, że podczas, gdy zajęty był malowaniem, jakiś głos wewnętrzny odzywał się w nim, ten sam głos, który, niegdyś, sławił Boga w Psalmach i opowiadał w Pieśni nad Pieśniami o słodyczy miłości silniejszej ponad śmierć.

Z tego zetknięcia się z Pismem Świętym, cóż pozostało malarzowi? Każdy z nas posiada parę sposobów na dojście do świętych ksiąg; wszystkie odnaleźć można w dziele Rembrandta. Pierwszy z nich jest czysto zewnętrzny i, aczkolwiek podnieca naszą wyobraźnię w sposób niewątpliwy, zwraca się jedynie do najbardziej powierzchownej części naszej istoty. Anegdotyczne opowieści i malowniczość zdarzeń to jest właśnie to, co przeciętni ludzie zwykli szukać i znajdywać w Biblii i, zapewne, niczego więcej sam Rembrandt nie szukał w niej, kiedy korzystał z wątku Zuzanny w kąpieli, albo Bethsabe i Dawida, by malować świetliste, nagie ciała kobiece, albo gdy Uczta Balthazara służyła mu jako pretekst do wydobycia tragicznych efektów. Ale prawdziwa Biblia Rembrandta nie sprowadza się tylko do dramatycznych lub sugestywnych anegdot. Wpływu Pisma Świętego należy szukać tam, gdzie artysta dociera do dwóch najistotniejszych prawd duchowej rzeczywistości: pewności istnienia tajemnicy w życiu i dramatu wewnętrznego.

Ta obecność niesformułowanej, lecz niezaprzeczalnej tajemnicy, która sama przez się jest wytłumaczeniem życia przewija się właśnie przez całe malarstwo Rembrandta i nadaje jego twórczości typowe piętno. Czyż bowiem przez Święte Księgi nie przebija wciąż tajemnicza siła, wola Opatrzności manifestująca boskie intencje? Czyż naród wybrany nie zawdzięcza możliwości rozpoznania swojej drogi właśnie dzięki pewnego rodzaju zadziwiającej intymności, w jakiej żyje z Wszechmocnym i Jego aniołami? Obraz taki jak „Jakub walczący z aniołem" daje nam klucz do tej tajemnicy. Biblia nauczyła artystę, że człowiek staje się naprawdę człowiekiem dopiero wtedy, kiedy spotka się z tajemnymi mocami, to znaczy dopiero wtedy, kiedy jego sztuka nawet pod świecką postacią potrafi ujawnić rzeczy święte, albo też pozwala się nam ich tylko domyślać.

Istnieje jednak jeszcze trzeci sposób dla każdego z nas, aby dojść do Pisma Świętego i sposób ten Rembrandt znał dobrze. Zamyka się w ramach o wiele skromniejszych i nam bliższych. Księga anegdot i opowieści wspaniałych, księga o duchowym znaczeniu, Biblia jest równocześnie księgą poznania człowieka i prawdy psychologicznej. „Pismo Święte — mówił św. Augustyn — wzrusza do głębi tych, którzy pragną nie słów, ale rzeczywistości". Na tych stronach, w które natchniony naród przelał całe swoje ludzkie doświadczenie, odnajdujemy pełnego człowieka: i tego człowieka właśnie odnalazł też Rembrandt. Wystarczy wpatrzeć się w jego Saula, aby zrozumieć całkowitą zgodność między tą postacią a naszym własnym niepokojem, aby odczuć w jakim stopniu geniusz, który się tu wypowiedział, odpowiada najgłębszym naszym zwątpieniom, złościom i gwałtownym napadom gniewu jakie nas ogarniają, kiedy zastanawiamy się nad sobą i nad życiem. Niektóre postacie Rembrandta, jak tenże Saul, mogły być tylko wynikiem poszukiwań człowieka, który czerpał całkowitą wiedzę z tysiącletniego doświadczenia świętych ksiąg.

Czy to wszystko? Nie, wiedzieć, że istnieje jakaś tajemnica w życiu człowieka i własną tragedią, to jeszcze nie wystarcza. Trzeba znaleźć odpowiedź, a odpowiedzi tej Stary Testament nie daje, choć ją przygotowuje. I w tym miejscu postawić należy obok kart biblijnej twórczości Rembrandta jego karty ewangeliczne. Przychodzą tu w sposób zupełnie oczywisty według objaśnienia, które sformułował Apostoł: „Koniec Zakonu — to Chrystus". Fakt, że Rembrandt poświęcił Ewangelii tyle samo swej twórczości, ile scenom ze Starego Testamentu, jest wynikiem niemal organicznej potrzeby jego duszy. I, aby całkowicie zrozumieć wagę posłannictwa, które poprzez rozdziały Pisma Świętego, otrzymał od Boga, tak jak to może się zdarzyć każdemu z nas, trzeba dopełnić tę część jego twórczości inną, tą, w której potrafił zobrazować — jakże silnie i jak łagodnie — ostatnią lekcję Nadziei i Miłosierdzia. Trzeba mieć przed oczyma tę światłość, która otoczyła uczniów w Emmaus, kiedy, nie mogąc głosu wydobyć ze zdumienia, dusze ich nagle rozpaliły się, albowiem poznali Chrystusa po tym jak dzielił chleb.

Artykuł powyższy, tak jak i zamieszczony w nr. 33 „Dziś i Jutro" artykuł „Gest i modlitwa" zostały napisane i przekazane przez autora dla naszego tygodnika.



Rembrandt — św. Paweł

W ZWIĄZKU z artykułem Daniel Ropsa p.t. „Rembrandt i Pismo Święte", który we właściwy wielkiemu pisarzowi sposób rzuca wszechstronne światło na biblijną i ewangeliczną twórczość Rembrandta, warto wspomnieć o postaci św. Pawła w dziełach flamandzkiego artysty.

Rembrandt potrafił odtworzyć postać Apostoła zgodnie z prawdą historyczną przy pełnym wyzyskaniu wszystkich środków swego artyzmu. Jego wizerunek św. Pawła jest najbardziej zbliżony do rzeczywistości, o ile można sądzić ze skąpych opisów i ustalonego typu ikonograficznego. (por. Ks. Eug. Dąbrowski „Dzieje Pawła z Tarsu" W-wa 1917 r. str. 602—609).

Postać św. Pawła przyciągała do siebie uwagę młodego malarza jeszcze w Leyden, gdy kilkakrotnie opracowywał sylwetkę starca, siedzącego z piórem w ręku nad otwartą księgą. Najwybitniejszym jest obraz z roku 1630.

Wspaniała gra świateł i cieni wydobywa pełnię wyrazu z mądrej zamyślonej twarzy. Reszta postaci tonie w mroku. Św. Paweł pisze właśnie jeden ze swych listów, przerwał na chwilę pracę i w głębokiej zadumie zastanawia się nad jakimś szczególnie ważnym zdaniem. Oczy ma spuszczone. Słynna barba philosophorum biała, przechodząca w lekką szarzyznę, plamą rozjaśnia czerń szaty. Ręka z piórem opadła na dół. Za chwilę Apostoł podniesie dłoń, ujmie mocniej pióro, a spod uniesionych powiek spłynie władcze spojrzenie. Poprzez zmysłową wrażliwość artysty Rembrandt dociera do duchowej prawdy człowieka: tajemnicy życia i wewnętrznego napięcia.

Alina ŚWIDERSKA

JULIUSZ

(FRAGMENT POWIEŚCI)

ODYNIEC siedział w „Café de l'Europe" i przeglądał gazety. Po rozstaniu z Mickiewiczem, z którym spędził cały prawie rok we Włoszech, sam już objechał pół Europy i ostatecznie zatrzymał się tu, w Dreźnie. Tutaj też dowiedział się o tym, co się dzieje w kraju.

Pisma zagraniczne pełne były wiadomości o Polsce. Już od czterech miesięcy trwała tam wojna o niepodległość. Większość Polaków przebywających za granicą na pierwszą wieść o tym pośpieszyła z powrotem do kraju. Młody Zamoyski nie mogąc się tam dostać inaczej, pojechał jako lokaj swego znajomego.

Edward nie był usposobienia wojowniczego, nie kwapił się tedy zbytnio. Co innego gdyby się znajdował na miejscu, ale skoro było inaczej, uważał, że się tam bez niego obejdzie. Ze zrozumiałym jednak zajęciem śledził wiadomości o przebiegu walk.

W pewnej chwili podniósłszy oczy znad gazety zobaczył kogoś wchodzącego do kawiarni. Czy go wzrok nie myli?... Ależ tak, to Julek!... Ta sama wątła postać, ta sama fizjonomia „myśląca" jak to określała matka, te same zwłaszcza głęboko osadzone, duże, czarne oczy...

Wchodzący zatrzymał się chwilę przy drzwiach rozglądając się po sali, a potem poszedł wprost ku niemu i powitał go słowami z sonetu Mickiewicza: — „To Czatyrdah?" — na co on odpowiedział niezwłocznie wykrzyknikiem z tego samego sonetu: — A a!... — lecz nie ograniczywszy się do tego, przeprowadzał ten wykrzyk



jeszcze przez rozmaite tony, aby tym bardziej zaznaczyć swoje zdumienie...

— Skądże się tu wziąłeś?

— Przyjechałem z Wrocławia... — Juliusz odpowiadał dość niechętnie — nie miałem twego adresu tutaj — zmienił od razu temat — więc wyszedłem na ulicę licząc, że cię może gdzieś napotkam... Wchodzę na ten wielki rynek, widzę napis „Café de l'Europe"... Ha, myślę, Odyniec musi być w Europie... no, i nie omyliłem się..

— Dawno wyjechałeś z Warszawy?

Juliusz znów się zachmurzył.

— Już blisko miesiąc temu... Zatrzymali mię we Wrocławiu — odwrócił znowu rozmowę — bo mi odebrali mój paszport i musiałem czekać na nowy, pruski... Nieznośne, nudne mieścisko...

Odyniec jednakże dopytywał się o wypadki warszawskie. Nie można było tego uniknąć.

— ...Ja ofiarowałem moje usługi w biurze dyplomatycznym — kończył Juliusz opowiadanie — mój wielki niegdyś protektor, minister książę Lubecki zaraz chciał mi dać pensję, ale nie przyjąłem... chciałem być użytecznym, a nie mogłem... byli tam hrabiowie... mnie kazano tylko ciągle przepisywać... lepiej było pójść do wojska... — urwał i nie dokończył. — Los jakiś rządzi moją karierą — dodał tylko po chwili — i widzę, że mi zawsze będzie stawał na przeszkodzie..

Odyniec nie stawiał mu żadnych pytań. Zadowolił się tą dosyć chaotyczną wypowiedzią i mówił dalej o sprawach ogólnych pokazując artykuły w gazetach.

Wyszli z kawiarni razem trzymając się pod rękę.

— Chodź ze mną do mojej kwatery. Mój gospodarz to wielki przyjaciel Polaków, na pewno i dla ciebie wynajdzie tu stancję dobrą i niedrogą.

To ostatnie było dla Julka wielce pożądane bo, jak się uskarżał, we Wrocławiu obdarli go okropnie. Mimo, że nie robił niepotrzebnych wydatków, czterdzieści złotych dukatów, które wywiózł z Warszawy, rozpływało się szybko.

Pokój rzeczywiście znalazł się od razu i to w pobliżu. Poszli zaraz go obejrzeć.

Spory salonik narożny wychodzący z jednej strony na plac z kościołem pośrodku, z drugiej na wąską uliczkę na wprost domu, w którym mieszkał Odyniec, cały był poprzebijany oknami jak latarnia.

— Pięć okien: A przez każde możesz widzieć inną panienkę — żartował Edward po swojemu.

Nie potrzeba było zresztą wyglądać przez okno, bo, jak to nowy lokator zauważył od razu, córka gospodyni była bardzo ładna. Co więcej, mówiła po francusku, co się okazało nader przydatne, bo w rozmówkach polsko-niemieckich jakie miał z sobą, nie znajdował wyrażeń stosownych do okoliczności.

Najbardziej ze wszystkiego jednak ucieszyła go cena.

— Sześć talarów na miesiąc!.. Mój kochany, przecież to prawie za darmo w porównaniu z mieszkaniami warszawskimi!...

Od razu rozgościł się w pokoju. Na stole stała lampa alabastrowa, zupełnie taka sama jak u Herwyki. Była wprawdzie cokolwiek zakurzona, ale zaraz ją uczyniono zdatną do użytku.

— Będzie można przy niej siedzieć wieczorem i „bajronizować" — stwierdził z zadowoleniem.

Do snu ukołysała go zza ściany muzyka ładnej sąsiadki, bo, jak się okazało, grała wcale nieźle na fortepianie.

Gdy się jednak obudził w nocy, ogarnęły go smutne myśli i nie mógł już zasnąć.

Czemu wyjechał z Warszawy?... To co mówił do Odyńca, że jakiś los nim rządzi i przeszkodził mu wstąpić do wojska, było wymówką przed samym sobą, w którą jednak sam nie bardzo wierzył. Wyjechał, bo chciał wyjechać... nie chciał pozostać na miejscu.. Słowa te mogły tylko być o tyle prawdą, że istotnie rządził nim jakiś mus wewnętrzny, któremu nie zdołał się oprzeć. Ale czy ten mus nie był po prostu.. tchórzostwem?...

O „wojażu" zagranicznym marzył już od dawna, a matka przemyśliwała jak mu to ułatwić. Kiedy w lecie skończywszy urlop wyjeżdżał z Krzemieńca, w ostatniej chwili wrzuciła mu do walizki owe rozmówki polsko-niemieckie mówiąc, że mu się mogą przydać, później zaś, kiedy wojna była już rozpoczęta, przesyłając mu pieniądze przez jakąś szczęśliwie nadarzoną okazję, posłała je nie w rublach, lecz w formie weksla... na Drezno.

Był to delikatny sposób oddalenia go od niebezpieczeństwa, ale mógł z tego sposobu skorzystać lub nie, zależnie od swojej woli. Ruch zbrojny rozszerzył się tymczasem i na „prowincje zabrane", jak dotąd jeszcze określano dzielnice Polski wcielone do Rosji. Ruszyła się Litwa, ruszyła się Ruś, powstawała cała dawna Rzeczpospolita... Ale jego brakło w tym ruchu. Spakował rzeczy i wyjechał.

Opuszczał Warszawę w nocy, w czas dżdżysty i chłodny, i miał niezmiernie przykre uczucie, że... ucieka. Poczucie to dręczyło go przez całą drogę do Wrocławia, dręczyło go i potem. Nie dające się przytłumić wyrzuty sumienia zatruwały mu każdą chwilę nie dozwalając zaznać przyjemności w tym, co oglądał. Co prawda pobyt we Wrocławiu i bez tego byłby nieznośny. Lecz to samo uczucie nie opuściło go i tutaj, w Dreźnie.

Doktór wrocławski wystawił mu świadectwo, że podróżuje dla poratowania zdrowia. Istotnie nie czuł się silny, przebyta w lecie febra wyczerpała go bardzo, miewał zresztą przy każdej niepogodzie podobnej jak ta, w którą wyjeżdżał, lekki ból i kłucie w piersi. Ale czyż tylu innych z takimi jak i on dolegliwościami nie szło bez wahania do wojska?... I w życiu obozowym odzyskiwali zdrowie..

Tak.. porzucił ojczyznę dobrowolnie i nie wiedział nawet, czy będzie mógł kiedykolwiek do niej powrócić... Stawały mu teraz w oczach tak wdzięczne i malownicze okolice Wilna, Krzemieńca.. — Śliczny kraj opuściłem!... — zalał się łzami.

— — — — —

Oto zapusty dalej kuligiem!
Każdy wesoły, a każdy zbrojny
jedzie na wojnę...
rade nam dwory!..
...Stójcie tu stójcie, oto dwór biały!
Dam znak, wystrzelę!...
...Stukam we wrota.
Ha! Stary sługa wychodzi, świeci.
— Twój pan śpi teraz? — Pan mój i dzieci
wyszli na czele zbrojnej czeredy...
...Jedźmy więc sami dalej i dalej!...
...Jakże noc ruszna! Jak lecą konie!
Lecą i lecą a spod kopyta
pryskają iskry...
Śmigają sanki, już świta, świta!...
...Wstrzymaj rumaka, wstrzymaj rumaka,
noc rozwidniała.
Zagrzmiały działa!
Oto jest kulig Polaka:

SKOŃCZYŁ czytanie i rozejrzał się po obecnych. W salonie pani Dobrzyckiej było kilkanaście osób. Na wszystkich twarzach widniało przejęcie, na niektórych nawet zachwyt. Sędziwa pani Dobrzycka płakała.

Mimo, że od kilkunastu lat mieszkała z córką w Dreźnie, tak wyglądała i tak się zachowywała, jak gdyby ciągle jeszcze była w Polsce. Słowackiego wprowadził do jej domu Odyniec. Tu bowiem spotykało się wszystkich Polaków przebywających w Dreźnie. A było ich sporo. Kiedy po upadku Napoleona przestało istnieć tworzone przez niego jako namiastka porozbiorowej Polski Księstwo Warszawskie, powstał zaś twór kongresu wiedeńskiego tak zwana „Polska Kongresowa" pod berłem cara rosyjskiego — wiele rodzin polskich wywędrowało z Warszawy w ślad za dworem króla saskiego, który za czasów napoleońskich sprawował tam władzę naczelną.

W ten sposób utworzyła się w Dreźnie jakby kolonia polska, która się już zżyła z tamtejszymi warunkami, ale zachowała nieprzerwaną łączność z krajem.

Prym trzymała tutaj panna Dobrzycka, dama dworu królowej saskiej od czasu, gdy ta jeszcze była w Warszawie. Bardziej jednakże niż córka podtrzymywała tradycje domu jej matka. Ona to garnęła do siebie wszystkich rodaków, ona ożywiała ów świetny salon duchem szczerej i prostej, staropolskiej gościnności i ona teraz słuchając jak Słowacki czyta swój „Kulig" płakała rzewnymi łzami.

„Hymn" znali już wszyscy, nie było Polaka w kraju, ani za granicą, którzy by go nie czytał. Ale „Kulig", drugi wiersz jego, który również obiegał całą Warszawę, słyszeli po raz pierwszy. I porywał ich ten rytm niby hulaszczy, a bojowy, owe unoszące ich pędem strofy, w których słychać było niemal tętent kopyt końskich..

Nigdy jeszcze Juliusz nie miał takich słuchaczy. Zachwycały się jego sonetami panienki w Wilnie i w Jaszunach, ale cóż to było w porównaniu z tą wibracją jak gdyby elektryczną, jaka szła przez cały salon, podczas kiedy z ust jego brzmiały te wiersze pełne fantazji, a przy tym żołnierskiego animuszu!

Zapominał, że ten animusz miał tylko na papierze. W tej chwili nie czuł się już winnym, był jedynie poetą, który czuje, że znalazł pełny oddźwięk wśród słuchaczy...

— ...Przychodźże pan do nas jak najczęściej, nie tylko z panem Odyńcem. Uważaj nas za swoje — i pani Dobrzycka ucałowała go w czoło.

Wśród bywających w jej domu spotkał zresztą kilku dawniejszych znajomych i razem z nimi zwiedzał Drezno i okolice.

Wiosna była już w pełni, wszystko dokoła mailo się i kwitło. W takiej porze roku każdy kraj wydaje się piękny, tym bardziej zaś owe strony słynne z malowniczości. Juliusz po nudzie jałowej okolic podwarszawskich zachwycał się nimi podwójnie. Niektóre z dolin Saskiej Szwajcarii przypominały mu Krzemieniec.

Nie doświadczał już wyrzutów sumienia. Spośród jego młodych towarzyszy żaden nie wybierał się do Polski. Mickiewicz również siedział w Rzymie i nie słyszano dotychczas, żeby miał stamtąd wyjechać. Tu, w Dreźnie, poznał Juliusz szereg domów polskich i wszędzie witano go i goszczono ochotnie. Nikt nie zdawał się chcieć mu robić zarzut z tego, że kraj opuścił.

Natomiast rozmawiano dużo o polityce. Zwycięstwa armii polskiej nad liczniejszymi o wiele wojskami rosyjskimi, sprawiały dobre wrażenie za granicą. Dwory europejskie objawiały chęć udzielenia pomocy tej walce. Należało to wyzyskać. Generał Kniaziewicz, który od dość już dawna przebywał na emigracji w Dreźnie, teraz zamiast wezwania do kraju dostał od Rządu Narodowego z Warszawy polecenie udania się do Paryża w misji dyplomatycznej. Nadzieje co do tego były jak najlepsze.

Tymczasem gazety podawały coraz to nowe wiadomości z Polski. Powstanie rozszerzało się na Wołyń i Podole. Juliusz rozpoznawał, chociaż okropnie poprzekręcane, nazwy miejscowości dobrze mu znajomych. Nie mógł się tylko zorientować co do ruchów wojsk. Wyglądało to jak gdyby wycofywały się do granic Galicji i Kongresówki, podczas kiedy w innych stronach rozpoczynała się właśnie walka. Czyż by taki brak koordynacji?... A ilu też było między tymi walczącymi jego krewnych i przyjaciół?... Znów powracały smutne myśli...

WRACALI obaj z Odyńcem z przechadzki za miasto. Edward stał mu się teraz bliższy niż był w Warszawie. Przypominał mu dom i matkę, i nie pobudzał go już do takich złośliwych refleksji jak uprzednio...

Siedzieli dosyć długo na płaskim, tarasowym dachu greckiej świątyńki, w jednej z nadłabskich miejscowości rozrywkowych, która Juliuszowi przywiodła na pamięć ogrody Zofiówki. Byli jak gdyby zawieszeni nad stromym brzegiem rzeki. Na wprost siebie po przeciwległej stronie widzieli zielone, faliste równiny a na prawo z dala wieże i mosty Drezna, w którym okna domów płonęły od zachodu słońca... Ściemniało się już, kiedy szli z powrotem do miasta.

— Widzisz tego czarnego psa, co tam biegnie? Zupełnie jak ten czarny pudel z „Fausta".

— Rzeczywiście!... Czy to pies czy to bies?....

Zaczęli idąc układać o tym psie balladę. Obaj rymowali równie łatwo. Zanim weszli do miasta, żartobliwa ballada była już gotowa.

— Zajdź do mnie, Julku, może będzie tam co z poczty.

Juliusz dotąd jeszcze nie miał wiadomości od matki. Na próżno chodził się dowiadywać co dzień na **poste restante**. Zaczynał się już obawiać że wszystkie jego listy giną...

Edward nie omylił się! Rzeczywiście znalazł w domu przesyłkę, a w niej list do Słowackiego.

Juliusz szybko rozrywał kopertę. W miarę jak czytał, twarz mu drgać zaczęła i łzy polały się z oczu. Były to łzy bolesne i bolesny był wyraz ust skrzywionych płaczem.

Obaj jego wujowie, chociaż żonaci i będący ojcami — bo i u Jasiów przybył już synek — na pierwszą wieść o zwycięskim wkroczeniu na Wołyń generała Dwernickiego zgłosili się do szeregów. Teofil wrócił niebawem, ponieważ Dwernicki otoczony przez dziesięciokrotną siłę nieprzyjacielską, wskutek nadesłanych zbyt późno posiłków musiał się cofnąć za granicę galicyjską. Jan na Podolu przepadł bez wieści.

Matka donosiła mu o bohaterskich czynach rozmaitych znajomych. W jej słowach przenikała go gorycz. Wspominała coś o swoim „Nagrobku", na którym słusznie może być napisane jedno tylko: „Ona nie była szczęśliwa". Do listu przypisał się Teofil. Ten w ironicznych słowach winszował Julkowi pięknego wojażu...

Wróciwszy do domu siadł natychmiast pisać do matki. Nie mógł przy tym wstrzymać się od płaczu. Pisał, że nie jest teraz godzien, aby ktokolwiek pamiętał o nim i jeszcze go kochał. Prosił, żeby z nikim obecnie o nim nie mówiła bo chce, żeby wszyscy zapomnieli o jego istnieniu. Dodawał jednak, że może potem znajdzie sposób zyskania szacunku w ojczyźnie. Jaki nie określał, wspomniał tylko, że choć teraz imię jego nie mogłoby być wyryte na żadnym grobie, lecz przyjdzie chwila.. na tym urywał. I dziękował matce za wszystko co dla niego robi, a jeśli w uprzednich listach czynił to w sposób nieco żartobliwy, prosząc, żeby tych słów nie brała za przypochlebianie się „synala", który chce od dobrej mamy wydostać pieniądze — to teraz mówił jedynie, iż wie, że ona jedna przynajmniej nie będzie nim zupełnie pogardzać...



i SALOMEA

Kiedy nazajutrz odczytał to, co napisał wczoraj, przedstawiło mu się wszystko inaczej. Dokończył list w tonie o wiele spokojniejszym, a do Teofila zwracał się po prostu i serdecznie z prośbą, żeby się na niego nie gniewał, bo on go szczerze kocha.

Gdyby nie te przykre myśli, dobrze by mu było w Dreźnie. Chodził codziennie kąpać się w Łabie co mu, jak twierdził, służyło bardzo, odwiedzał znajomych, asystował ładnej pannie Dąbrowskiej, córce generała, twórcy legionów, oglądał osobliwości Drezna, muzea i galerie obrazów. Miasto pustoszało stopniowo. Kto mógł, wyjeżdżał na letnie wczasy, kilku zaś jego znajomych Polaków, pojechało z powrotem do kraju. On nie ruszał się z miejsca.

— Czemu ty nic nie piszesz? — dziwił się Odyniec.

— Teraz lato. W lecie nigdy nie mogę pisać.

Edward patrzył na niego z tym większym zdziwieniem. On mógł pisać zawsze, o każdej porze roku, dnia czy nocy.

— I tak mam z sobą dosyć wierszy — zażartował Juliusz — szkaradne wiersze! Podniosły wagę mego tłomoczka do czterdziestu sześciu funtów!

Mianem „wierszy" zresztą określał wszystko. Było tam i parę powieści poetyckich i dwie tragedie.

— Miałem to drukować w Warszawie — zwierzał się Odyńcowi — było już nawet w cenzurze, ale wobec wojny musiałem wycofać.

Nie ogłosił prenumeraty na te swoje poezje jak to czynili inni. Matka dostarczyła mu pieniędzy na druk. Za te pieniądze podróżował teraz. Szafował nimi tak umiejętnie, że dopiero niedawno temu spieniężył weksel przysłany mu przed wyjazdem.

Nie gniewał go brak natchnienia. Wiedział, że ono wróci. Tak czuł w sobie tę siłę, która niby jakiś fatalizm pchała go ciągle naprzód. Ona to kazała mu opuścić Warszawę, ona nie dozwalała teraz powrócić do kraju. Czuł wzmagającym się coraz bardziej choć niewyrozumowanym instynktem, że takie jest jego przeznaczenie. Jak wówczas, owej pamiętnej nocy w alei dębowej w Jaszunach, po wyznaniu uczynionym Ludce, tak i teraz uczuwał w sobie owa moc utajoną. M u s i stać się wielkim poetą, musi osiągnąć te szczyty jakie widzi że będą dla niego dostępne!

A jednak... uczucie żalu i wstydu z powodu haniebnej ucieczki z kraju — bo to b y ł a ucieczka, nie mógł temu przeczyć — powracało ciągle. Nie tylko dlatego, że go to upokarzało wobec innych, że stanowiło źródło bolesnych urazów dla matki i że, jak słusznie napisał, lepiej by żeby o nim wszyscy zapomnieli. Upokarzało go przede wszystkim wobec siebie. Wszak sam mówił kiedyś patrząc na mieszkanie Trembeckiego w Zofiówce, że w duszy poety gaśnie iskra poezji z chwilą gdy zgaśnie w niej własny szacunek. W jego duszy ta iskra nie zgasła, lecz winna w takim razie rozpłomienić się tak silnie, żeby wypalić na niej wszystkie skazy...

SIEDZĄC przy jednym z okien swego pięknego pokoju pił ranną kawę, którą mu zawsze przynosiła osobiście córka gospodyni, owa muzykalna i mówiąca po francusku panienka.

— Chciałabym mieć takiego... brata jak pan — powiedziała kiedyś spuszczając błękitne oczy.

Pochlebiło mu to.

„Die Mama" również odnosiła się do niego przyjaźnie i twierdziła że pragnęłaby mieć go za lokatora do końca życia...

Kończył teraz właśnie śniadanie, kiedy zapukał ktoś do drzwi.

— Gorzeński — przedstawił się wchodzący — skierowano mię tu do



pana w sprawie ważnej i niecierpiącej zwłoki.

Nazwisko to było Juliuszowi znane. Należało do jednej z zamożniejszych rodzin ziemiańskich w Wielkopolsce.

— Mówiono mi, że pan zasługujesz na pełne zaufanie. Idzie o to, żebyś pan natychmiast pojechał do Paryża, porozumiał się tam z Ludwikiem Platerem i wziął od niego list do generała Grouchy, który przebywa obecnie w Londynie. Konie i powóz będziesz pan miał gotowe a proszę, oto czterysta talarów na drogę — wręczył mu worek ciężki ch srebrnych pieniędzy — i powtarzam raz jeszcze, idzie przede wszystkim o pośpiech.

Działo się to jak we śnie. Podróż do Paryża i Londynu, niedościgły cel marzeń! I to bez kosztu! A ponadto uczucie, że służy Polsce! I zaufanie jakim go darzą!

W trzy godziny siedział już w wygodnej bryczce resorowej. Konie ruszyły pędem.

Wszystko dokoła migało jak w latarni czarnoksięskiej. Jechał dzień i noc. Nazajutrz rano był w Lipsku wieczorem w Weimarze. Tu mieszkał Goethe!... Przelecieli tylko pędem przez ciche i łagodne miasteczko. Następnego ranka wjeżdżał we wspaniałe góry lasu Turyńskiego, czwartego dnia w południe stanął w Moguncji.. śliczny Ren!... jaka szkoda, że nie można nań patrzeć dłużej!... I śliczną krainę Nadrenii przejechali wyciągniętym kłusem... W piąty wieczór podróży wjeżdżał do Metz. To już była Francja. Całe miasto płonęło iluminacją, tłumy ludzi cisnęło się po ulicah.... pierwsza rocznica rewolucji lipcowej!...

— J'ai une affaire pressée au préfet du département*.)

— Il est au bal, monsieur.. **

Nie było rady. W zakurzonym i obryzganym błotem ubraniu, zawiązawszy tylko naprędce białą chustkę pod szyją, żeby zakryć zmięty kołnierz od koszuli, wchodził do jaskrawo oświetlonej sali pełnej strojnych kobiet i mężczyzn w kolorowych frakach.

Zdziwiony był prefekt patrząc na tak odzianego wątłego młodzieńca, ale dowiedziawszy się kim jest i dokąd jedzie od razu zmienił ton. Szybko załatwiono niezbędne formalności i Juliusz ruszył dalej w krótką noc lipcową. Gdy rozedniało, rozglądał się po francuskiej ziemi. Cóż za nędzny kraj! Miasteczka gorsze od polskich... wszędzie znać biedę....

Verdun przesunęło się tylko w południowym słońcu... już wieczór... trzask!... pęka resor!...

Nie było czasu naprawiać. Znalazł się powozik na poczekaniu.

— Et votre voiture, monsieur?*)...**

Namyślił się chwilę. Zbierano wszędzie składki na uczczenie rewolucyjnej rocznicy.

— Proszę to sprzedać na rzecz składek.

*) Mam pilny interes do prefekta departamentu.

**) On jest na balu, proszę pana.

***) A powóz pański, proszę pana.

Spojrzano z podziwem i respektem na tak hojnego młodego cudzoziemca.

.. Ze skończeniem co do minuty szóstej doby podróży, w samo południe wjeżdżał do Paryża.

PARYŻ! Ten przedmiot marzeń i westchnień wszystkich dam wileńskich!.. Paryż, którego sama wzmianka wprawiała je w egzaltację, którego blask tylko w odbiciu wystarczał, by dla nich otoczyć nimbem Nowosielcowa i Bajkowa.. Lecz ponadto coś więcej jeszcze. Paryż, stolica świata.. Ognisko kultury i cywilizacji, skąd promieniowały one na całą Europę...

Pocztylion, wiozący „etranżera", który tak szczodrze płacił, jechał umyślnie przez najpiękniejsze ulice wymieniając mu je po kolei. Juliusz więc od razu poznawał Paryż.

... — Mój Boże!... Sześć nocy w podróży bez wypoczynku! — kasztelanowa Platerowa patrzyła na niego po macierzyńsku. — Niechże pan natychmiast kładzie się spać choć na parę godzin!...

Usłuchał rady ale przed wieczorem siedział już w **chaise de poste***). Przez całą noc po drodze budząc się z drzemki widział jaskrawo oświetlone miasta i miasteczka, bo wszędzie jeszcze trwały uroczystości lipcowe. Po całodziennej dalszej podróży zbliżając się do Boulogne-sur-mer zobaczył morze. Przypomniała się Odesa.. O północy wjeżdżał do Calais. Trzydzieści siedem mil z Paryża przebył w niespełna trzydzieści godzin. Iście kawalerska jazda!

— Le paquebot pour Londres? Mais il est déjà parti!)..**

Miał zalecone jechać nie zatrzymując się bez względu na koszt. Najął tedy statek. Stojąc na pokładzie patrzył jak oddalały się i znikały w cieniu niby fantastyczne jakieś sygnały, różnobarwne latarnie morskie portu w Calais:

Kapitan stateczku zbliżył się do niego z odkrytą głową prosząc, żeby zechciał spocząć w kajucie i zapytując o rozporządzenia. Wszyscy tu byli na jego rozkazy. Zapowiedział tylko, że gdy będą wjeżdżać do portu w Dover, zatknąć pawilon francuski. Sam jednakże prawie od świtu znajdował się na pokładzie.

Był już biały dzień kiedy zarzucili kotwicę w porcie. Na brzegu było pełno ludzi i wszyscy z ciekawością spoglądali na ten niewielki okręcik o trójkolorowym sztandarze. Juliusz słyszał jak na zapytania ze wszystkich stron jego załoga odpowiadała że to **un comte polonais***)** jedzie z Paryża w misji dyplomatycznej, i sprawiało mu to wielką przyjemność. Był jeszcze bardzo młody...

...Marszałek Grouchy, jeden z najlepszych generałów Napoleona, lecz skompromitowany na ostatku przez jakieś zaniedbanie obowiązków, które poważnie zaciążyło na przegranej pod Waterloo, przebywając teraz za granicą, szukał sposobu rehabilitacji i to może wpłynęło na jego zainteresowanie sprawą polską. W każdym razie przyjął młodego Słowackiego nader przychylnie gdy ten stanął przed nim sczerniały od trudu z zapadniętymi w głąb sinych oczodołów wielkimi oczami.

Juliusz nie znał treści pisma które doręczył ale z tego, co usłyszał mógł zmiarkować, że szło o sprawy mogące wpłynąć rozstrzygająco na losy Polski i czuł się szczęśliwy że jemu właśnie dane było służyć tu za pośrednika. Uważał też, iż spełniwszy z takim nakładem sił zadanie, które mu powierzono, ma prawo teraz skorzystać z tego dla własnej przyjemności i pozostawać tutaj czas jakiś, ale mógł to już uczynić tylko na swój koszt.

Anglia podobała mu się bardzo. Jadąc z Dovru do stolicy widział ślicznie zabudowane i ślicznie utrzymane miasteczka pola starannie uprawione z wyzyskaniem każdego najmniejszego skrawka ziemi, a zieleń łąk i pastwisk o barwie tak natężonej jak nigdzie w połączeniu z czerwonawą barwą piasku zachwyciła jego oko malarskie nie oglądanym dotychczas czarem pejzażu.

Hotel londyński, w którym zamieszkał, gdzie lokaje w galowym ubraniu niby na dworze królewskim i o niepokalanie białych pończochach schodzili bezszelestnie jak duchy po wysłanych dywanem schodach na odgłos dzwonka zaimponował mu niesłychanie, a śniadanie wykwintne jakie mu podali wielce mu przypadło do smaku. Przeraziła go tylko cena tego wszystkiego i postanowił wynieść się stąd jak najprędzej. Przede wszystkim jednak runął na łóżko i dwie doby spał bez przerwy.

*) Dosłownie: krzesło pocztowe (cz. karetka).

**) Parostatek do Londynu? Ależ już odpłynął.

***) Hrabia polski.

MY LORD... — dozorca parkowy dotknął ręką kapelusza — kto tak płaci, ten siedzi inaczej.

Przed chwilą zwracając się o zapłatę za krzesło, mówił do niego: **sir**, ale gdy zamiast obowiązującego jednego **penny** dostał całego szylinga zaczął go tytułować lordem.

Juliusz spojrzał na niego ubawiony. — A jakże mam siedzieć?

Nauczył się już cokolwiek chociaż z trudem rozumieć uliczny akcent londyński.

Dozorca przysunął mu parę krzeseł — Tutaj, milordzie, trzeba wyciągnąć nogi, tam na krześle położyć kapelusz...

Przyglądał mu się z uśmiechem ale na razie nie skorzystał ze wskazówek.

— To szlachetny zwyczaj, pański zwyczaj — mówił dalej tamten — tym się odróżniają panowie od gminu... Ale kto tam wie — machnął ręką — teraz we wszystkim reformy, może i tego zabronią ..

Ukłonił się nisko i odszedł. Juliusz został sam. Cisza była i spokój naokoło. Trudno uwierzyć, że tam niedaleko wre miasto. Ten zakątek parku pusty był zupełnie, tylko na przedziwnie świeżej zieleni opodal pasły się trzody pysznego, rasowego bydła, a na pobliskich sadzawkach bielały jak rozpięte żagle skrzydła pływających po nich łabędzi. Ten ogród wydawał się czarowną sielanką ogromnego miasta, był śród tych obszarów zapełnionych murami jak moment natchnienia na kartach długiego i nudnego poematu... Ale ludzie wolą tam na ulicach dławiąc się dymem oglądać wystawy sklepowe. Tutaj przepyszne stare drzewa wznoszące się pojedynczo nad miękką jak dywan flamandzki murawą nie dopuszczały dymów i mgieł Londynu. Tylko widne z dala tu i ówdzie między drzewami ściany pałaców ukazywały się na pół zamglone tą atmosferą, która dodaje wielkości i nieskończoności wszystkim widokom angielskim....

Spojrzał na zegarek, wstał i wijącymi się poprzez zieleń trawników, wysypanymi złocistym piaskiem dróżkami, szedł zwolna ku wyjściu.

Podobał mu się Londyn. O wiele lepiej, przynajmniej na oko, niż Paryż. Tamta stolica wydała mu się podobna do Warszawy i innych, większych od niej miast europejskich — ta była zupełnie oryginalna. Z uśmiechem wspominał swoje dziecinne marzenia, kiedy sobie wyobrażał miejscowości, o których czytał w książkach. Wszystko to przedstawiało mu się zgoła inaczej. Ciekawe było teraz porównywać to z rzeczywistością... Zamyślił się głębiej... Czy też potrafi samego siebie oceniać tak bezstronnie jak dziś ocenia świat, kiedy go ogląda?...

W pensjonacie, gdzie zamieszkał zaraz na drugi dzień po przyjeździe, powiedziano mu teraz, gdy przyszedł, że było do niego zawiadomienie, aby się zgłosił po list z Paryża, który nadszedł do jednego z banków pod jego adresem. Podążył tam natychmiast.

Aż tutaj go dogonił list z Krzemieńca!... Nic jeszcze nie wiedzieli o jego podróży. List ten był odpowiedzią na to co pisał z Drezna. Czytał go idąc ulicą koło katedry świętego Pawła, potrącany przez przechodniów.

Jakże czule, jak serdecznie pisali do niego! Nie [illegible] i Teofil. Wśród tych wszystkich radosnych i przyjemnych wrażeń jakich doświadczał tutaj, tego jednego mu dotąd brakowało...

STATEK do Calais miał odejść dopiero wieczorem. Zmęczony całonocną podróżą z Londynu do Dover poszedł się przejść po wybrzeżu. Skały kredowe, którym Albion zawdzięczał swą nazwę „wyspy białej", piętrzyły się nad morzem. Usiadł na jednej z nich. Słuchając szumu fal dobył książkę z kieszeni i zaczął czytać.

„Król Lear"... przewracał kartki i zatrzymał się na stronie aktu czwartego, gdzie ślepy Gloucester



prowadzony przez syna właśnie po tych skałach mniema, że stoi nad brzegiem przepaści i słucha opowieści o niej:

Chodź! Oto szczyt, stój cicho... zakręci się w głowie
gdy rzucisz wzrok w przepaści ubiegłe spod nogi.
Wrony przelatujące w otchłani połowie
mało większe od żuków... a tam, na pół drogi
czepia się ktoś... chwast zbiera... z ciężkiej żyje pracy!
Stąd go nie większym widać od człowieka głowy,
a owi co się snują po brzegu rybacy
wydają się jak mrówki.... Okręt trójmasztowy,
spoczywający w porcie widać stąd bez żagli,
łupinę tylko mniejszą od węzła kotwicy....
A szum zhukanej fali, która wicher nagli
i pokłada na brzegu skalistej granicy,
war piany i kamieni równy głośnej burzy
ucha tu nie dochodzi... O, nie patrzę dłużej,
bo myśl skręcona głową w otchłań mię zanurzy....
(przekład Słowackiego)

(Dokończenie na str. 9)

Szymon DEREŃ

WRZESIEŃ

O kolejnej rocznicy września 1939 roku przypomina nam książka Mariana Staniewicza „Klęska wrześniowa na tle stosunków międzynarodowych" (wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1952 r., str. 236). Autor, jak sam pisze, nie rości sobie pretensji do ujęcia całokształtu historii stosunków międzynarodowych okresu tzw. dwudziestolecia, lecz podjął się jedynie ukazania źródeł i dróg odrodzenia imperializmu niemieckiego po pierwszej wojnie światowej, na tle pokojowej i konstruktywnej polityki zagranicznej Związku Radzieckiego. W ten sposób stara się on wyjaśnić faktyczne powody klęski wrześniowej.

Książka Staniewicza składa się z dwóch części. Pierwsza ma tytuł: „Polityka imperialistów zachodnich", a druga — „Polityka reakcji polskiej". Podział ten jest słuszny, gdyż nawiązuje do dwóch podstawowych przyczyn ówczesnej katastrofy narodowej. Naturalnie, winę za nią ponosza w pierwszym rzędzie rządy sanacyjne, ale współodpowiedzialnością obarczać powinniśmy również zabójczą dla naszych interesów narodowych politykę mocarstw zachodnich.

Cechą charakterystyczną polityki wszystkich rządów polskich w dwudziestoleciu, zarówno po przewrocie majowym jak i poprzednio, gdy władze piastowały różne koalicje endecji, ludowców i prawicowego PPS, było podchodzenie do wszystkich zagadnień międzynarodowych pod kątem nastawienia skrajnie antyradzieckiego. Wypływało to zarówno z obawy warstw posiadających stracenia swej panującej pozycji jak i z dawnych tradycji szlacheckich szukania expansji na Wschodzie kosztem absolutnego niedoceniania polskich interesów narodowych na ziemiach zachodnich. Nawet endecja, tak wyraźnie dawniej rusofilska i szermująca hasłami obrony przed zaborczym prusactwem, łączyła się od czasu rewolucji rosyjskiej z piłsudczykami na platformie polityki antyradzieckiej, głosząc jedynie, w odróżnieniu od „federalizmu" sanacji, program polonizacji Ukrainy i Białorusi.

Wyrazem tej polityki było szukanie porozumienia i oparcia w mocarstwie zachodnim w danym momencie najbardziej zdecydowanie antyradzieckim i pretendującym do kierowniczej roli w koalicji imperialistycznej na terenie Europy. Po Francji i Anglii sanacja uznała za takie Niemcy hitlerowskie. W jej zrozumieniu paktowanie z nimi miało zabezpieczać przed ruchami rewolucyjnemi wewnątrz kraju i przynieść, za cenę wysługiwania się imperializmowi niemieckiemu, częściowe przynajmniej zaspokojeni aspiracji zaborczych na Wschodzie. Nie bez powodu we wszystkich rozmowach dyplomatycznych z czasów „sielanki" sanacyjno-hitlerowskiej ci ostatni podkreślali stale „specjalne interesy polskie na Ukrainie".

Zdrowy instynkt narodu polskiego przeciwstawiał się tym konszachtom sprzecznym z naszymi interesami państwowymi i narodowymi, równającym się stopniowemu rezygnowaniu z niezależności politycznej. Dla tego sanacja maskowała to pustymi frazesami o „mocarstwowości Polski" i beztreściwymi gestami uprawiania polityki równowagi między dwoma potężnymi sąsiadami w oparciu o złudę tzw. bloku neutralnego. Jednoczesne zawieranie paktu o nieagresji ze Związkiem Radzieckim, na który propaganda sanacyjna powoływała się zawsze jako rzekomy dowód „polityki równowagi", było tylko manewrem, osłaniającym ugodę z Hitlerem, a sławetne klecenia przez Becka „trzeciej siły" w formie bloku neutralnego sprowadzało się w rzeczywistości do nowego wydania antyradzieckiego kordonu sanitarnego z czasów Clemenceau, Wilsona i Lloyd George'a. Kryzys czechosłowacki wykazał jaskrawo czyim interesom służyła polityka Becka i różniący się od niej tylko metodami taktycznymi program endecji.

W tym właśnie momencie prysły nadzieje reakcji polskiej, otrzymania wynagrodzenia przy ewentualnym podziale łupu radzieckiego za swe usługi dla imperializmu niemieckiego. Hitlerowcy zamanifestowali brutalnie, iż nie potrzebują już „sojusznika" polskiego, lecz chcą mieć tylko bezwolnego wasala. Sanacja zaś w swym zacietrzewieniu nie widziała, iż Murzyn już zrobił swoje i brnęła dalej po drodze która równała się zdradzie narodowej. Łudziła się, że Hitler zrobił „błąd" wyrzekając się dotychczasowego wiernego współpracownika i kołatała do niego dalej, pragnąc odnowienia paktu.

Wszystkie manewry Becka z gwarancją brytyjską i w obliczu rokowań Anglii i Francji ze Związkiem Radzieckim miały jedynie na celu przypominanie, że Polska mogłaby odegrać poważną rolę w koalicji antyradzieckiej. Zdecydowany opór rządu sanacyjnego przeciwko wszelkiej pomocy radzieckiej dla Polski w obliczu coraz już wyraźniejszej groźby agresji hitlerowskiej wypływał nie tylko z klasowych obaw podyktowanych polityką wewnętrzną, ale i ze świadomej woli unikania kroku, który by przekreślił możność wznowienia rokowań o dalsza współpracę z faszystami niemieckimi. Dlatego właśnie, jak to lapidarnie określił autor wspomnianej książki Staniewicz, „sanacja odrzuciła jedyną szansę".

Tak, pomoc Związku Radzieckiego była dla Polski wówczas jedyną realną szansą. Burżuazja polska pokładała nadzieję w mocarstwach zachodnich, gdyż nie umiała i nie chciała widzieć istoty polityki imperialistów, którzy traktowali zawsze Polskę jako obiekt w swych planach i rozgrywkach, nie licząc się nigdy z interesami naszego kraju. W swej książce Staniewicz przypomina nam znane fakty o stałym, poczynając od Wersalu, montowaniu przez imperialistów amerykańskich bloku antyradzieckiego i przeznaczaniu w nim, tak samo jak to robią dzisiaj, pierwszego miejsca militaryzmowi niemieckiemu, przypomina o pomocy udzielonej przez monopolistów światowych Hitlerowi w dojściu do władzy, o monachijskiej zmowie reakcji międzynarodowej.

W danym wypadku najciekawsza jest dla nas bezpośrednia rola mocarstw zachodnich w katastrofie wrześniowej, potraktowana zresztą przez autora w sposób znacznie bardziej ogólnikowy.

Monachium miało stać się dla imperialistów światowych punktem wyjścia dla krucjaty antyradzieckiej. Mocarstwa zachodnie uważały, że ewentulne zyski z tej akcji powinny być podzielone między wszystkich partnerów bloku agresywnego, chociaż ciężar walki zbrojnej przeciwko Związkowi Radzieckiemu chciały one przerzucić na hitlerowców. Imperialiści niemieccy, dufni w swoje siły militarne i upojeni realizowanymi dotychczas tak łatwo sukcesami, nie chcieli swymi rękami wyciągać kasztanów z ognia dla innych i sięgali już zdecydowanie po hegemonię europejską, snując na dalszą metę plany walki o panowanie światowe.

PO aneksji Czech w marcu 1939 roku Wielka Brytania, najbardziej bezpośrednio zagrożona tymi zakusami hitlerowców, ujawniła chęć wstrzymania jednostronnych zaborów Niemiec faszystowskich, manifestując tym, że partner niemiecki musi się z nią liczyć i zapewnić jej odpowiednie ekwiwalenty. Gwarancja udzielona Polsce stanowiła fragment tej akcji brytyjskiej, której punktem centralnym były podjęte przy udziale satelity francuskiego rokowania ze Związkiem Radzieckim. Jednoczesne pertraktacje przemysłowców angielskich i niemieckich w Düsseldorfie i zupełnie szczere rozmowy „ambasadora gospodarczego" Hitlera — Wohlthata — z najbliższym współpracownikiem Chamberlaina — Wilsonem — na temat podziału sfer wpływu, świadczyły wyraźnie, że rokowania ze Związkiem Radzieckim są tylko gestem manifestacyjnym mającym wskazać Niemcom na niedopuszczalność lekceważenia interesów brytyjskich.

W rozmowach tych, w których zresztą strona brytyjska wyraźnie mówiła, że z chwilą dojścia do porozumienia z hitlerowcami wycofa natych miast swe gwarancje dla Polski, a więc zgodzi się na realizację planów niemieckich względem Polski, punktem wyjścia podziału sfer wpływów miała się stać akcja hitlerowska przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Wiąże się z tym poza tym sam przebieg rokowań angielsko-francuskich z ZSRR, w których mocarstwa zachodnie chciały otrzymać zabezpieczenie i pomoc Związku Radzieckiego, wstrzymując się ze swej strony od takich samych gwarancji dla ZSRR, co było wyraźną wskazówką pod adresem Niemiec, iż mają one wolne ręce w tamtym kierunku.

Pionkiem w tych rozgrywkach była Polska. Oddzielała ona Niemcy od Związku Radzieckiego, a więc była w danym momencie raczej zawadą w projektach sprowokowania ataku hitlerowskiego na ZSRR. Z drugiej strony przedstawiała ona jednak dla mocarstw zachodnich walor piorunochrona ściągającego na siebie pierwsze uderzenie hitlerowców, umożliwiając w ten sposób zakłócenie przeprowadzenie mobilizacji na Zachodnie i skoncentrowania sił francusko-brytyjskich na uważanej — jak się potem okazało niesłusznie — za niezdobytą linii Maginota. Stanie bezczynnie na tych pozycjach defensywnych, podczas gdy armie hitlerowkie atakowałyby Związek Radziecki było by najlepszym rozwiązaniem sprawy, do którego dążyli imperialiści zachodni, gdyż liczyli, że w ten sposób będą mieli zapewnione korzyści bez względu na wynik wojny radziecko-niemieckiej.

Dopiero uświadomienie sobie tego stanu rzeczy tłumaczy postępowanie Francji i Wielkiej Brytanii wobec Polski przed i podczas września 1939 r. Udzieliły one Polsce obietnicy pomocy na wypadek agresji niemieckiej, co więcej zawarły z nami w maju i czerwcu tegoż roku umowy wojskowe zawierające zupełnie ścisłe zobowiązania współdziałania militarnego. Anglia miała od razu dokonać szerokich bombardowań zaplecza niemieckiego frontu wschodniego, a Francja wzięła na siebie zobowiązanie przeprowadzenia na swym froncie ataków lokalnych w trzecim dniu mobilizacji, zaś ofensywę generalną — w dniu dziesiątym od rozpoczęcia wojny.

Jednakże umowy polityczne, których podpisanie miało dopiero wprowadzić w życie te konwencje wojskowe były przez mocarstwa zachodnie odkładane do ostatniej chwili (pakt polsko-angielski doszedł do skutku dopiero 25 sierpnia 1939 r. a polsko-francuski nawet już po rozpoczęciu wojny). Obiecane Polsce kredyty na przygotowania wojenne nie zostały pod różnymi pretekstami udzielone.

Po agresji w dniu 1 września Francja i Wielka Brytania zwlekały przez trzy dni z wypowiedzeniem wojny Niemcom, poczem swych zobowiązań wojskowych nie spełniły. Obawiano się tam jednak, że Polska może skapitulować zbyt wcześnie, umożliwiając przerzucenie całości prawie sił niemieckich, skoncentrowanych przeciwko Polsce, na front zachodni zanim mobilizacja francuska nie zostanie zakończona. Dlatego naczelny wódz francuski generał Gamelin zasypywał dowództwo polskie patetycznymi depeszami wzywającemi do wytężenia wszystkich sił w obronie kraju, obiecując z dnia na dzień rozpoczęcie generalnej ofensywy francuskiej.

Ten sam jednak gen. Gamelin pisze wyraźnie w swych pamiętnikach wydanych po wojnie, że w pierwszych dniach września odbył naradę z dowódcami brytyjskimi, podczas której ustalono, iż sojusznicy nie są przed latem 1940 r. w stanie rozpoczynać jakichkolwiek działań ofensywnych i trzeba się przygotować do bardzo przewlekłej wojny. Na interwencje ambasadora polskiego w Paryżu domagającego się wypełnienia zobowiązań i okazania pomocy Polsce; Gamelin odpowiedział cynicznie, że podjecie generalnej ofensywy na linię Siegfrieda Francji się nie opłaca, bo kosztowało by to zbyt dużo ofiar ludzkich.

Sprawa jest zupełnie jasna. Heroiczna walka żołnierza polskiego przeciwko przeważającej nawale hitlerowskiej spełniła rolę, którą imperialiści zachodni wyznaczyli Polsce. Pod jej osłoną odbyła się spokojnie i bez przeszkód mobilizacja francuska i brytyjska a wobec tego Polska jako czynnik wojenny stawała się dla nich bezprzedmiotową. Co więcej, jej definitywna klęska była dla nich nawet pożądana, aby przesunąć wojska hitlerowskie aż do granic Związku Radzieckiego. Tak zwana „drôle de guerre" była właśnie czekaniem, aż uda się sprowokować agresję niemiecką na Związek Radziecki. Nadzieje ich nie ziściły się w danym momencie dzięki przewidującej polityce stalinowskiej.

TAKA jest prawda o „przyjaźni" i „pomocy" sojuszników zachodnich dla Polski we wrześniu 1939 roku. Elementy do wyjaśnienia sobie całości tych zagadnień znajdujemy w książce Mariana Staniewicza, opartej w przeważającej mierze na materiałach o charakterze dokumentalnym (wyciągi z aktów dyplomatycznych, pamiętniki, wyp. wiedzi kierowniczych polityków zachodnich, prasa współczesna itd.). Główna jej wartość polega na tym, że uczy nas, iż tylko rzeczywista i trwała współpraca ze Związkiem Radzieckim zabezpieczyć nas może od tego, aby wrzesień już nigdy więcej się nie powtórzył.

„De optimo genere interpretandi"

(Dokończenie ze str. 4)

zachować z oryginału jak najwięcej szczegółów, drobne różnice między kopią i oryginałem, ale te różnice w szczegółach nie zmieniły ani trochę proporcji, układu członków, wyrazu twarzy. Pozostał w kopii właściwie ten sam posąg, tylko dlatego że użyto do wykucia go narzędzi mniej precyzyjnych, paznokcie dwoch palców u ręki są mniej wypukłe niż odpowiednie paznokcie w posągu marmurowym, a włosy wydają się gęstsze wskutek tego, że nie udało się w nich wyżłobić tyleż linii, ile ich zawierał oryginał; ale za to mają piękny połysk, którego brakło w matowym marmurze. — Użyłem tu umyślnie trzech elementów: posągu, surowego materiału (marmur i brąz) oraz narzędzi, żeby je zestawić z odpowiednimi elementami oryginału i tłumaczenia: treścią dzieła literackiego (posąg), zewnętrzną stroną języka, przez którą rozumiem jego elementy fizyczne, wokalne (kamień) i jego stroną wewnętrzną — znaczeniem wyrazów, ich połączeniami i rolą poszczególnych wyrazów oraz ich połączeń w wyrażaniu treści psychicznych (narzędzia rzeźbiarskie). Ten trzeci element ma tu szczególnie ważne znaczenie i tłumaczy dostatecznie wszelkie konieczne różnice między oryginałem i przekładem dzieła literackiego. Trwałe jego ślady zaznaczą się na przekładzie tak, że mimo drobnych różnic zewnętrznych nie zatrą ani trochę treści oryginału, a w tych odmiennych szczegółach tyleż go wzbogacą, ile zubożą. Tłumacz — jak rzeźbiarz — rzeźbi w surowej masie zasobu słownego swojego języka i patrząc w oryginał wykuwa przy pomocy dostępnych mu narzędzi dzieło literackie identyczne z oryginałem, a oryginalne tylko w tym, że wykonano je z innego materiału i przy pomocy odmiennych narzedzi. Postulowany wyżej „ekwiwalent formy", o której te narzędzia stanowią, tylko przy takiej postawie będzie właściwie pojęty.

ZRESZTĄ nieuczciwym upraszczaniem sprawy byłoby ograniczanie problemu do różnic zachodzących między językami w ogóle i do sposobu pokonywania tych ogólnych rozbieżności. Trzeba sobie zdawać sprawę, że nie tylko każda epoka i każde środowisko społeczne, lecz także każdy pisarz ma swoisty, własny język i odrębność tego indywidualnego języka jest tym większa, im silniejsza jest indywidualność pisarza. Tłumacz nie może pod żadnym pozorem zapominać o tym. Autor którego tłumaczy, winien być dlań kimś bliskim i absolutnie zrozumiałym. Właściwie nie powinno się tłumaczyć jednego dzieła, jeśli się nie zna wszystkich lub przynajmniej większości dzieł danego autora. Ale i to nie wystarczy. Nie powinno się też tłumaczyć autora, poza którym nie zna się innych z tej samej epoki, środowiska, problematyki. W braku tych — trzeba poznać przynajmniej jego prekursorów i epigonów. Rzetelna wiedza nie znosi wycinków, które prowadzą do zagubienia tego, co u tłumaczonego autora charakterystyczne i swoiste, a do przejaskrawienia elementów typowych i konwencjonalnych. Indywidualność literacką można wydobyć tylko ze skrupulatnego zestawienia i trafnego porównania. A już idealnym tłumaczem będzie ten, kto posiadłszy całą potrzebną wiedzę wykaże jeszcze kongenialność z autorem, którego tłumaczy.

I jeszcze jedna sprawa, bardzo ważna. Na początku zeszłego stulecia W. v. Humboldt wyraził się w kwestii przekładu (zresztą formułując tylko wyraźnie to, co istniało od dawna w tendencjach i w praktyce), że nie może on i nie powinien być komentarzem *(Eine Uebersetzung kann und soll kein Kommentar werden)*. Ten pogląd jeszcze i dziś jest aktualny u wielu tłumaczy, a opowiedział się za nim i J. Perret w cytowanej wyżej książce, niedwuznacznie stawiając postulat, by w tłumaczeniu świadomie pozostawiać wszystkie niejasności i dwuznaczności autora. Stanowisko takie, które słusznie można by popierać w myśl pożądanej u tłumacza sumienności i skrupulatności, wymaga jednak rozpatrzenia w dwóch aspektach: ze względu na autora i ze względu na czytelnika: tłumacz jest w tym wypadku uczciwym pośrednikiem między jednym i drugim.

Uczciwość tłumacza wobec autora polega przede wszystkim na tym, że w oparciu o cały dostępny sobie materiał stara się on zrozumieć myśli wyrażone przez autora. Miejsca niejasne przy takiej postawie redukują się do minimum. To minimum (które, rzecz zrozumiała, nie zawsze jest nieodzownie konieczne) zawierać będzie niejasności trojakiego rodzaju: subiektywne, tj. będące trudnościami dla samego tylko tłumacza, podczas gdy dla innych osób mogą to być rzeczy zupełnie jasne, obiektywne, ale przypadkowe, niedostrzeżone przez samego autora, wreszcie również obiektywne, ale celowe, przez autora zamierzone i świadomie wprowadzone do tekstu. Jeśli pierwszy rodzaj, jako będący urojeniem samego tłumacza, idzie na jego rachunek, ostatni zaś ze względu na żądaną uczciwość wobec autora musi być zachowany, wątpliwości nasuwa tylko rodzaj drugi, zawierający niejasności, które się wkradły do tekstu mimo woli i wiedzy autora. I trudno jest rozstrzygnąć ze stanowiska samej tylko uczciwości tłumacza, czy winno się w tych miejscach zostawić dwuznaczność, czy ją usunąć.

Pozostaje zatem rozstrzygnięcie ze stanowiska czytelnika. Jaki byłby cel pozostawiania mu dwuznaczności oryginału, którego treść (mam tu na myśli dzieła starożytnych) i tak jest prawie zawsze bardzo trudna? Wydaje się, że w przypadkach, gdzie dwuznaczność i niejasność jest tylko skutkiem przeoczenia autora, na pytanie: tłumaczyć czy wyjaśniać — odpowiedzieć trzeba stanowczo: wyjaśniać. Będzie to dla tłumacza nowy obowiązek, tym razem tylko wobec jego czytelników, ale chyba nie przykry i nie tak trudny, żeby go nie można było wypełnić w zgodzie z obowiązkiem uczciwości wobec autora.

*

WRÓĆMY do punktu wyjścia, tj. do Hieronimowego listu „o najlepszym rodzaju tłumaczenia". Nie można dość silnie podkreślić ciągle aktualnej wartości tej znakomitej rozprawy. Istota poglądu na najlepszy rodzaj tłumaczenia mieści się w cytowanych na początku tego artykułu słowach autora: „Ja... nie tylko wyznaję, lecz wprost i otwarcie oświadczam, że w tłumaczeniu pism greckich — wyjąwszy Pismo Święte, gdzie i porządek słów jest tajemnicą — wyrażam nie słowo za słowem, lecz myśl za myślą". Na poparcie jej ma św. Hieronim tyle teorii i faktycznych osiągnięć pisarzy pogańskich (Cicero, Horacy, Plaut) i chrześcijańskich (Pismo Święte i Ojcowie Kościoła), tyle wreszcie spostrzeżeń własnych poczynionych nie tylko przy teoretycznych rozważaniach, ale i we własnym warsztacie tłumacza, że erudycją i bystrością obserwacji wprawia w zdumienie. Znajdą się tu i świetnie dobrane przykłady ze Starego Testamentu w wersji ewangelistów odbiegające znacznie w szacie słownej od brzmienia oryginału, znajdzie się charakterystyczny przekład z Ewangelii św. Marka, gdzie ewangelista przetłumaczył hebrajskie zdanie dodając dla emfazy frazeologiczny zwrot. Uczony, znający dokładnie dziedzinę swych zainteresowań, i literat, który z niesfornego języka uczynił sprawne narzędzie, przemawia z każdego rozdziału. List do Pammachiusza i Wulgata to dwa oblicza tego samego geniusza literackiego.

Bogactwo treści listów św. Hieronima zjednywa im czytelników wśród ludzi o bardzo różnorodnych zainteresowaniach. Ci, których interesuje teoria przekładu, zajmą się listem do Pammachiusza ze świadomością, że ta lektura sprzed piętnastu wieków da im na pewno wiele korzyści.

Dramatyczny dzień na granicy

POWIEŚĆ Wilhelma Szewczyka zatytułowana „Kleszcze“ [1]) dzieje się na przestrzeni krótkiego czasu, zamyka ją autor w ramach jednej doby. Ale trzeba powiedzieć że w ów dzień i w ową noc przed wybuchem drugiej wojny światowej godziny były chyba najciężej naładowane wielką historią Polski i świata, bowiem w nich spiętrzyły się najgroźniej i ukazały się najcharakterystyczniej problemy walącego się w gruzy, rozkładającego się starego świata w Polsce; wrzesień skąpał te problemy w morzu krwi. Któż z nas nie pamięta tamtych chwil przed wojną? Gdy w kraju szerzył się chaos, gdy ludzie na najwyższych stanowiskach potracili głowy, ale nie myśleli potracić majątku, gdy wkradło się rozprzężenie w aparat administracyjny, już i przedtem kulejący, gdy dygnitarze więksi i mniejsi nagle wyjeżdżali na „konferencje“, porzucając instytucje i warsztaty pracy, gdy granica między Polską a Hitlerią krwawiła incydentami...

Sprawy przedwrześniowe, to znaczy nie tylko nastroje i zdarzenia bezpośrednio przed wybuchem drugiej wojny światowej, ale w ogólności sprawy całego dwudziestolecia znalazły w polskiej literaturze powojennej dosyć poważne opracowania. Dotychczasowe jednak powieści nie wychodziły poza krąg środkowej Polski i właściwie poza sferę środowisk inteligenckich. Dokonaliśmy już sądu nad kliką pułkowników, opukaliśmy już chore miejsca sanacyjnego organizmu państwowego, nazwaliśmy źródła przyczyn klęski wrześniowej i opisaliśmy najważniejsze procesy gnilne tamtego świata. Ale Polska przedwrześniowa to także świat pracy i walki, to także Śląsk.

W jaki sposób odbijały się tamte sprawy na ziemi śląskiej? Tutaj, gdzie z jednej strony od granicy hitlerowskiej biły potężnymi reflektorami złowrogie światła, które fascynowały. urzekały wielu słabych i dotkniętych nędzą bezrobocia, gdzie z drugiej strony w fabrykach i kopalniach hartowały się w zaciętej walce rewolucyjne kadry działaczy robotniczych, tutaj musiały się załamywać jak w soczewce problemy i zagadnienia ogólnopolskie i ogólnoświatowe. I tak też było. I to właśnie stara się nam ukazać Szewczyk w powieści ambitnej w zamierzeniach, rozplanowanej w cykl, którego „Kleszcze“ stanowią pierwsze ogniwo.

W obrazie życia małej osady górniczej, leżącej gdzieś w okolicach Rybnika pragnie autor przedstawić najistotniejsze tragiczne problemy owego czasu i równocześnie scharakteryzować narastające potężne siły, które wówczas stawały do walki o nadanie kształtu i oblicza przyszłemu światu. Trzeba powiedzieć od razu, że te zamierzenia powieściopisarza łatwo rozpoznać i że owa w pewnym sensie świadomość zadania znajduje na kartach powieści podkreślenia może często zbyteczne, akcentację może zbędną, zwłaszcza tam, gdzie już samym działaniem ukazywanych postaci idee i problemy tłumaczą się dostatecznie silnie. Niemniej dzieło Wilhelma Szewczyka jest utworem mocno zwartym, pozbawionym gadulstwa; skondensowanie d z i e j ą c e j się rzeczywistości polskiej w granicach kilkunastu godzin i na tak małym terenie osiedla robotniczego na Śląsku, w rozlicznych i skomplikowanych powiązaniach socjalnych, gospodarczych i politycznych, świadczy o nie byle jakich możliwościach debiutującego w dziedzinie prozy powieściowej poety śląskiego. Szewczyk nie daje się ponosić pędzącym na oślep ku godzinie wybuchu wojny chwilom ostatniego sierpnia 1939 roku. Niejako zwalnia czas, trzyma — powiedzmy patetycznie — za uzdę rumaka historii. Potrzebuje wielu kwadransów, w każdym kwadransie dzieje się coś niezmiernie ważnego i charakterystycznego w osiedlu, prowadzi czytelnika w różne miejsca i do różnych ludzi, śledzi zdarzenia sekundnikiem.

Co tedy dzieje się w osiedlu śląskim, położonym na granicy Polski i Niemiec, niedaleko od Katowic, a bliziutko Gliwic i Zabrza w dniu 31 sierpnia 1939.

Emil Szostok, dziennikarz warszawski, przyjeżdża w tym dniu na pogrzeb ojca, górnika, którego — dowiadujemy się o tym później — wykończyli w umyślnie spowodowanym wypadku miejscowi hitlerowcy. Poprzez Emila, którego zmarły ojciec był jednym z działaczy robotniczych w osiedlu, trafiamy na miejscową kopalnię i poznajemy życie i dążenia, mentalność i ideały różnych warstw i ugrupowań społecznych i narodowych, działających w terenie. Emil jest bohaterem akcji, zdążającej w kierunku pełnego ujawnienia złożoności zjawisk natury społeczno-gospodarczej i polityczno-narodowej w tym pogranicznym osiedlu górniczym na Górnym Śląsku. Widzimy poprzez niego jak obnażają się coraz to bezczelniej prowokacyjno-dywersyjne elementy miejscowych hitlerowców, organizujących napady na aktywniejszych działaczy robotniczych, jak wyglądają akcje sabotażowe, precyzyjnie wykonywane wedle instrukcji i wytycznych sztabu hitlerowskiego w Berlinie, jak dokonywano przerzutów broni przez oficerów Wehrmachtu przy wybitnym współudziale obywateli polskich, należących do nielegalnej Jungdeutschepartei i do oficjalnego Volksbundu. Tej niezmiernie ważnej problematyki wojny Polski z Niemcami faszystowskimi na odcinku górnośląskim w latach przedwrześniowych nie poruszył dotąd poza Szewczykiem nikt w sposób tak pełny i z takim znawstwem. Szewczyk ukazuje jak z tym koniem trojańskim hitleryzmu na Górnym Śląsku podejmowali walkę, zresztą bezskuteczną ludzie najsilniej powiązani z narodem i ojczyzną, ludzie klasy robotniczej. Walka była bezskuteczna dlatego, że góra Wspólnoty Interesów, posiadała intymne porozumienia z kołami hitlerowskimi, które uniemożliwiały wszelkie próby kontrakcji przeciwko antypolskim zdradzieckim poczynaniom Wierchally, Ducha, Czypryny, Kuloka, Śliny i innych. Ci zupełnie bezkarnie knują, spiskują przygotowują teren dla Hitlera i jego „zbawiających“ świat kohort Freikorpu i Werhmachtu. Ci rzucają w teren pieniądze i propagandę, dwa argumenty silnie oddziaływające na ludzi wyzyskiwanych, źle płatnych, mało uświadomionych, wyrzucanych z pracy. Niejeden daje się uwieść, jak ów tragiczny, świetnie przez Szewczyka uchwycony Pozbieroł, który dostawczy się do pracy po drugiej stronie granicy, nie potrafi się już wyplątać z sideł hitlerowskich i wbrew własnej woli staje się narzędziem słynnej prowokacji politycznej, tzw. „akcji powstańczej na radiostację w Gliwicach“.

Bezpośrednio zespolona z tą grupą antypolską i antyrobotniczą jest grupa faszystów polskich, przewodzi jej właściciel sklepu obuwniczego Komander, typek spod przysłowiowej „ciemnej gwiazdy“, któremu autor nie szczędzi schwarzcharakterowego maquillage'u; jest ograniczony, jest zachłanny, wywłaszcza biednego Żyda-szewca, orgnizuje bojówki antyżydowskie.

Obok takich sprzymierzeńców hitleryzmu widzimy także ludzi-kukły, jakimi są naczelnik gminy i dyrektor kopalni, którzy dają się powodować byle czym i przez byle kogo, nie zapominając wszakże o korzyściach osobistych. Obraz tego obozu wrogów, zdrajców i ich świadomych lub nieświadomych popleczników wypada w „Kleszczach“ wyraźnie i na ogół przekonywająco, chociaż występują tam i przejaskrawienia, sprzeczne z metodą realizmu powieściowego, której autor stara się być wierny, mimo skłonności do poetyzowania, ujawniającej się zwłaszcza w dziedzinie stylistycznej, w partiach opisowych.

W godzinach najwyższego rozprzężenia i chaosu, w godzinach walącego się państwa polskiego, podgryzanego od wewnątrz i naciskanego od zewnątrz, jedyną grupą stojącą na wysokości zadania i nie tracącą głowy, jedynym środowiskiem posiadającym poczucie odpowiedzialności za losy osiedla, kopalni, więc za losy Ojczyzny, jest środowisko działaczy komunistycznych. Szewczyk rozróżnia w tym środowisku ludzi o różnym stopniu uświadomienia, niemniej silna indywidualność aktywisty Bartoszka, oraz postacie sztygara Kłóska, Niemca z K. P. D. z Zabrza Ernesta, skupiają wokół siebie wszystkich ludzi dobrej woli. Pisarz ustawia front walki inaczej niż to wyglądało na pozór w wigilię wybuchu wojny. Widziana w duchu internacjonalizmu i solidarności klasowej nadciągająca wojna wygląda nie jako wojna między Polską a Niemcami, lecz jako wojna między kapitalizmem i jego odmianą to jest faszyzmem, a siłami postępu. Choć tych spraw nie pojmuje zrazu wielu szczerych i uczciwych ludzi, jednak w miarę rozwoju wypadków słuszność takiej koncepcji coraz bardziej trafia do przekonania zarówno Jilkowi — zawiadowcy kopalni jak i Emilowi. Stopniowe pozyskiwanie wartościowych elementów do tak pojętej walki, duży dynamizm rozwojowy poszczególnych postaci, oto wartości, które może najsilniej wiążą czytelnika z książką, nie posiadającą mimo klęskowego tematu atmosfery klęski, lecz tchnącą optymizmem, każącą wierzyć, że w efekcie końcowym potęga żelaznej Hitlerii, czołgami miażdżąca małą przygraniczną osadę robotniczą zostanie złamana i siły reprezentowane przez Bartoszka zwyciężą.

W dążności do wyczerpania postulatu epickiej pełności kreślonego obrazu Szewczyk ukazuje prócz wymienionych grup i środowisk, wyraźnie sobie przeciwstawnych, jeszcze inne środowisko ludzi: nastawionych patriotycznie, pragnących z braku zaufania do władz, na własną rękę przeprowadzać w osiedlu czystkę antyniemiecką, lecz przerażających swą ciasnotą horyzontów; z takich trenerów sportowych jak poczciwy lecz ograniczony kapral Raczek będą później się rodzić wszelkie nieodpowiedzialne, samorodne grupki konspiracyjne, tak łatwo duszone na Śląsku przez gestapo.

Gdy do wymienionych kół i środowisk, przedstawionych w „Kleszczach“ dodamy wojsko i policję, gdy powiemy, że działanie tych wszystkich czynników, wiąże się, że interesy ich krzyżują się, że cele grup społecznych i politycznych autor odkrywa nam dyskretnie ale wyraźnie — będziemy mieli w rezultacie do czynienia z dziełem o solidnej kondensacji treściowej, dziełem którego waga jest większa niż wielu dotychczasowych utworów poruszających tematykę przedwrześniowej rzeczywistości.

Na koniec pragnę poruszyć sprawę, która z punktu widzenia czytelnika katolickiego w „Kleszczach“ budzi zastrzeżenia i która wykracza chyba poza obiektywizm rzetelnego realisty. Kiedy Szewczyk maluje żydów umie rozróżnić bogatego i biednego Żyda; na biednym Glywitzerze skrupia się złość faszystów, bogaty uciekł zawczasu nie troszcząc się zbytnio o swego współplemieńca; kiedy charakteryzuje Niemców rozgranicza uczciwego i prawego działacza robotniczego Ernesta od szowinistów hitlerowskich, kiedy mówi o urzędnikach, o robotnikach, o sztygarach — zawsze umie należycie rozróżnić człowieka od człowieka, nie generalizując. W jednym wypadku autor „Kleszczy“ generalnie, schematycznie traktuje ludzi, a to wtenczas, gdy chodzi o księży. Z księżmi wiąże wszystkich oczajduszów i wyzyskiwaczy, nie zdobywając się nigdzie na wysiłek selekcji. A i wśród księży śląskich przecież wielu było w tych tragicznych godzinach wybuchu wojny, z ludem, co zresztą przypłaciło później życiem w obozach koncentracyjnych. Mieliśmy i mamy także w tej „kaście“ złych i dobrych, wstecznych i postępowych, kapitalistycznie nastawionych jak i pielęgnujących cnoty prawdziwego chrystianizmu. Prócz tego dziwią u autora „Kleszczy“ niepotrzebne i nieprzyjemne zwroty, pełne ironii w stosunku do innego niż sam autor wyznaje światopoglądu.

Niezależnie od tych zastrzeżeń „Kleszcze“ Wilhelma Szewczyka ocenić należy jako książkę, która wzbogaca naszą wiedzę o bliskiej przeszłości Śląska, jest ona opowieścią, w której autor zaklął w kształt artystyczny kilkanaście godzin brzemiennych wielką historią Polski.

Zbyszko Bednorz

[1]) Wilhelm Szewczyk „Kleszcze“ — wyd. Państw. Inst. Wydawniczy. Warszawa.

Drogi współczesnej demokracji

Dokończenie ze str. 3

znalazły się silnie powiązane trzy zasadnicze elementy: idea „restauracji“ społeczeństwa burżuazyjnego, idea „centrum“ jako pośrednika między kapitałem a pracą oraz idee „państwa chrześcijańskiego“ i „chrześcijańskiej kultury“ w ogóle. Pierwsza z tych idei miała skutki reakcyjne, trzecia również (była bowiem skierowana przeciwko koncepcji świeckiej, antyklerykalnej socjal-demokratów). Co do drugiej, to była ona zawsze wiecznym nieporozumieniem wynikłym z pomieszania pojęć idei i stanu faktycznego“.

Istnieje jednak, podobnie jak w omówionych już stronnictwach demo-chrześcijańskich a zwłaszcza we włoskim, również w CDU/CSU pewien zdrowy objaw niepokoju, o to, że **imię Chrystusa zbyt często łączy się z wątpliwymi praktykami politycznymi i nie bardzo czystymi interesami gospodarczymi...**

„Niemniej jednak to **„lewe skrzydło CDU nie jest wcale silne“** (Dirks). Przywódcy jego zostali wyeliminowani. Protestanci-lewicowcy zaś w większej części opuścili także szeregi CDU.

A zatem widzimy podobny objaw jak we Włoszech i we Francji. Kierunek ciążenia przechylił się w niemieckiej chrześcijańskiej demokracji zdecydowanie na prawo pociągając za sobą to samo niebezpieczeństwo coraz dalszego tracenia kontaktu z interesami mas pracujących. Dlatego słuszna jest obawa chrześcijan obdarzonych zmysłem krytycznym, o którym wspomina Dirks. Albowiem **„widzą oni z niepokojem jak wzrasta reakcyjność tego stronnictwa a niepokój ich zwiększa się jeszcze, kiedy pomyślą o możliwości utworzenia jakiejś pseudo-chrześcijańskiej międzynarodówki światowej reakcji“.**

W BELGII

POLITYCY powołujący się na chrześcijańską demokrację w ramach belgijskiego stronnictwa społeczno chrześcijańskiego (PSC) nie stanowią w ogóle o całości tej partii. Grupuje ona bowiem najrozmaitsze elementy podobnie jak CDU/CSU.

PSC jest spadkobiercą dawnego bloku katolickiego, który powstał w XIX wieku, a reprezentował bardzo różny zakres poglądów politycznych i zaplecza społecznego W każdej jednak mierze nie obejmował natomiast, co należy podkreślić, proletariatu. Chrześcijańska demokracja w Belgii, w przeciwieństwie do już omówionych jest nie tyle stronnictwem politycznym, co organizacją społeczną, opartą o chrześcijańskie organizacje zawodowe — tzw. MOC.

Między MOC a PSC istnieje łączność personalna przez to, że działacze z MOC zajmują równocześnie stanowiska w PSC.

Sama polityka PSC jest także pod silnym znakiem reakcji, co odciąga odeń wszystkie bardziej postępowe elementy z chrześcijańskiej demokracji. Istnieje zwłaszcza nieufność wśród robotników chrześcijańskich Walonii oraz wśród młodzieży, która od drugiej wojny światowej z wielką rezerwą odnosi się do PSC i z wielkim tylko wahaniem doń przystępuje.

Przyczyną tego jest niewątpliwie to, co pisał kiedyś organ MOC, mianowicie:

„Doświadczenie sześćdziesięciu lat dowiodło, że ugrupowanie w jednym stronnictwie elementów konserwatywnych razem z demokratycznymi bardziej w końcu służy interesom pierwszych, niż ułatwia działalność reformatorską drugich“.

Owa działalność reformatorska cierpi jednak podobnie jak w chrześcijańskiej demokracji Włoch, Francji i Niemiec zachodnich na **„ubóstwo doktryny,.. zbytnie zamiłowanie do umiarkowania i infantylizm wobec zagadnień ustroju“** — jak to trafnie określono w ankiecie o belgijskiej chrześcijańskiej demokracji.

Rudolf Buchała

*) Uwagi niniejsze oparte zostały na licznych wypowiedziach bardziej postępowych organów prasy katolickiej na Zachodzie—szczególnie analizujących słabości „chrześcijańskiej demokracji“. Największy materiał dała ankieta z „Temoignage Chretien“, następnie wypowiedź „Vie Intellectuelle“, „La Via“, „Frankfurter Hefte“.

R. B.

JULIUSZ i SALOMEA

(Dokończenie ze str. 7)

Scena była tragicznie śmieszna, ale opis wspaniały... Odłożył książkę i zamyślił się... Szczyt wyższy jeszcze od wszystkich szczytów ziemskich osiągnął Szekspir mocą swego geniuszu... Tu mówią ślepemu o przepaści... on także ludziom przyziemnym mówi o otchłaniach, o których oni nie mają pojęcia... zbliża ich do nieskończoności .. Warto by nawet wzrok utracić, gdyby móc wzamian patrzeć na świat takimi oczyma...

Był w Londynie na przedstawieniu „Ryszarda trzeciego“, rozumiał prawie wszystko, znał przecież dobrze ten dramat z czytania. Występował tam świetny aktor, Kean, najznakomitszy podobno odtwórca ról szekspirowskich i rzeczywiście grał tak właśnie jak Juliusz wyobrażał sobie że ta rola powinna być grana. I podczas kiedy tak słuchał i patrzył, we własnej jego myśli błyskały iskry twórcze...

...— Czemu nie postarałeś się pan o to, żeby w Warszawie zagrali two jego „Mindowe“? — zapytywał go stary Niemcewicz, który na krótko przed jego odjazdem przybył do Londynu.

Juliusz poszedł go odwiedzić Tamten również przyjechał w misji politycznej, tylko oczywiście o wiele poważniejszej niż on. Miał się porozumieć z najbardziej wybitnymi mężami stanu. Nie wyglądał jednak zbyt dobrej myśli. Wydał się Juliuszowi jakiś postarzały i nie tak pogodny, jak był w Ursynowie, a na jego wypowiedzi pełne otuchy kiwał tylko niedowierzająco głową..

Paru rodaków spotkał Juliusz w Londynie, poznał się też z literatami angielskimi i zrobił snadź na nich dobre wrażenie, gdyż przyjmowali go i gościli po przyjacielsku. I w pensjonacie gdzie mieszkał odnoszono się do niego życzliwie.

— Czemu pan dziś tak źle wygląda? — zapytywała go kiedyś troskliwie pani domu. — Może pan niezdrów?

— Nie... — zawahał się chwilę — tylko .. miałem nadzwyczaj przykry sen. Śniła mi się jakaś rzeź okrutna...

Otaczający uśmiechnęli się z lekka.

— Obawiam się — kończył — że coś złego zaszło w mojej ojczyźnie.

— To są nerwy, imaginacja, nie wierz pan temu — zapewniali go

Nic nie odpowiedział. Przypomniało mu się, jak on sam nieraz podżartowywał z przeczuć matki.

Minęło parę dni. Wrażenie się zatarło. Wtem gazety przyniosły wiadomość o krwawych rozruchach w Warszawie. Lud burzył się i wieszał zdrajców — przynajmniej tych, których za takich uważał — oprócz walki na polach bitwy rozpętały się walki uliczne w stolicy. Niektóre pisma londyńskie określały to mianem „jakobinizmu“. Data tych wydarzeń była dokładnie datą snu Słowackiego.

Kiedy zjawił się u stołu na **lunch***), powitano go ze zdziwieniem pełnym uznania.

— Rzeczywiście ten sen pański, to było coś nadzwyczajnego!...

On sam w tej chwili zamiast się martwić doświadczał uczucia triumfu. Zarazem jednak z tym uszczypliwym krytycyzmem, który stosował nie tylko do innych, lecz i do siebie, zrobił w myśli uwagę, że teraz lada niestrawność będzie dla niego powodem do przeczuć...

Od owego dnia wszakże odnoszono się do niego ze szczególnym respektem, jak do kogoś obdarzonego władzą „podwójnego wzroku“...

Siedział teraz na skałach Dovru i patrzył na spienione morze po którym za parę godzin miał popłynąć.. Burzliwe dzisiaj były fale.

Spuścił z powrotem wzrok na książkę... Tak... myśl geniusza cały świat odziewa blaskiem, ale człowiek na każdym szczeblu życia natyka się na prozę rzeczywistości... Myślał o czekającej go dziś przeprawie i wydał się sam sobie tak mały jak ten, co tam gdzieś na skałach zbiera chwasty...

Nazajutrz strudzony i schorowany po nadzwyczaj burzliwej podróży morskiej był już w drodze do Paryża.

Alina Świderska

*) Drugie śniadanie.

Włodzimierz WNUK

„Złe spojrzenie“ Żeromskiego

CZYTAJĄC jakiś utwór literacki pasjonujący nas niezwykłą fabułą czy też niecodziennym dramatem, skłonni jesteśmy upatrywać jego źródło w płodnej fantazji pisarza. W fantazji, którą pisarz jest znacznie hojniej przez naturę obdarzony niż przeciętny czytelnik. Tymczasem jak że często treść utworu, przypisywana imaginacji autora, jest zaczerpnięta wprost z życia. Szukamy genezy danej noweli czy powieści Bóg wie jak daleko, a ona wyrasta korzeniami z gruntu najbliższej nam rzeczywistości, z najprawdziwszego zdarzenia. Tyle tylko, że przepuszczono go przez pryzmat duszy bardziej może niż inne uczulonej na blaski i nędze życia.

O takim właśnie zdarzeniu będzie poniżej mowa. I o tym, jak wstrząsnęło ono jednym z największych naszych pisarzy utrwalając się w postaci noweli wartej przypomnienia.

*

TYTUŁ jej brzmi: „Złe spojrzenie“. Nie należy do dobrych zwyczajów streszczanie utworów i to w dodatku pisarza tak znanego jak Żeromski, ale w tym wypadku będę chyba usprawiedliwiony. Raz dlatego, że nowela jest stosunkowo mniej znana, a po drugie — czytelnik, który cierpliwie przeczyta to wszystko do końca, sam może mnie wytłumaczy.

„Przeżycie wewnętrzne, które ma być tutaj uprzytomnione, zdarzyło się półtora roku mniej więcej po śmierci dziewiętnastoletniego młodzieńca, syna doktora Zenona Ł., prowincjonalnego lekarza w środkowej „Galicji“. Zmarły był jedynakiem. Zgasł w ciągu krótkiego czasu na galopujące suchoty“ — tak się zaczyna opowieść. Doktór Zenon usiłował zdusić swoją rozpacz w ofiarnej, zapamiętałej walce z chorobami, w wyrywaniu cudzych dzieci z objęć śmierci, która zabrała mu jedynaka. Ale im dłuższy czas dzielił doktora od tej śmierci tym większa stawała się jego boleść, tym bardziej pożerała go tęsknota za utraconym dzieckiem... Nie usiłujmy cytować przejmującej prozy, w jakiej oddane zostało cierpienie doktora, idźmy za wątkiem akcji.

Naprzeciw mieszkania lekarza stał dom, w którym gospodarzyła skromna rodzina. „Ojciec tej familii, ongiś urzędnik, stracił wzrok i jako zupełny inwalida, pozostawał na opiece żony, kobiety niezmiernej pracy, zapobiegliwości i nieustającego poświęcenia. Trzecią w tej rodzinie osobą był syn, jedynak, wyrostek lat siedemnastu czy osiemnastu, uczeń gimnazjalny, prymus w szkole i „pociecha, tudzież cała nadzieja“. I tu następuje opis współżycia rodziny podpatrywanej codziennie przez doktora Zenona. Współżycia, którego sercem i motorem był niezastąpiony Antoś pomagający matce w gospodarstwie i opiekujący się troskliwie niewidomym ojcem, z którym chodził stale na spacery.

„Gdy tak pewnego dnia ci dwaj powracali z miasta do domu, doktór Zenon przypatrywał im się ze swego okna. Wzrok jego wszczepił się w tę parę [illegible] wysunęło się z serca [illegible] zazdrości. Głowa jak by głaz lity, odwaliła się na futrynę okienną, a wargi szeptały do niewidomego starca:

— I cóż z tego, że jesteś ślepy? I cóż? Idziesz z nim, jakby ze swemi własnemi oczami. Widzisz przez niego. Twoje struchlałe serce ma w sobie zasadzone drugie serce, żywe, młode niewinne, [illegible] i święte. Ręka potężna i tkliwa podtrzymuje każdy twój krok. Ramienia twego dotyka ramię cudze a zarazem własne jakby wieczność potęgi. I cóż, że jesteś ślepy! Przestrzeń dla ciebie znikła i przeistoczyła się na czas, to prawda. Ale, gdy idziesz ramię w ramię z dorastającym synem, przez to jego ramię wraca w ciebie na nowo przestrzeń. Jesteście dwiema istnościami w jednej. Jesteście cudem natury. Tak oto, ty ślepy, jesteś panem nad pany, królem nad króle. A ja? Ze mnie wydarte jest wszystko, przestrzeń i czas, światło i zmrok sen i czuwanie. Jestem kamień, który noga wszechmocna kopnęła i odrzuciła z drogi, żebym wam nie zawadzał w przechadzkach pod słońcem. Cóżem jest? Nawet nie nicość“!

Gdy nadeszła pierwsza rocznica śmierci syna i doktór zamówił żałobne nabożeństwo, to Antoś właśnie przyniósł mu od proboszcza list zawiadamiający o dacie mszy św. A potem przyszedł drugi raz z zaproszeniem na nabożeństwo, które uczniowie, koledzy syna, zamówili w rocznicę jego urodzin.

„Uśmiech nieopisanej piękności, w którym zawarte było wszystko, stał na wargach gońca, kiedy ów list podawał. Gdyby ten uśmiech można było cudownym sposobem zdjąć, z warg jego ludzkich i utrwalić w zewnętrzności, byłby to najwyraźniejszy moment bytowania ducha wiecznego“

W niedługi czas potem doktór Zenon spotkał na ulicy zapłakanego skauta wiozącego na wozie zwłoki kolegi, który zabił się w górach. Skaut nie miał odwagi zawiadomić o śmierci kolegi jego rodziców, tym bardziej, że ojciec ofiary był ślepy... Doktór odrzucił płachtę — „zobaczył Antosia, a raczej potargane, zmiażdżone i rozstrzępane jego zwłoki“. Nie poszedł powiadomić rodziców — i jemu zabrakło odwagi.

W parę dni później znowu ujrzał doktór sąsiada siedzącego nieruchomo przed swym domem i patrzącego niewidzącemi źrenicami na łączkę, po której biegał tak niedawno Antoś. „Doktór, jak zazwyczaj, oparty o futrynę okna, nie mógł odejść z tego miejsca. Kilkakroć wyciągał rękę do nieruchomego starca, ale ta ręka opadała wzdłuż ciała. Kilkakroć czuł w piersiach podnoszący się krzyk, ale nie mógł go wydać. Czemże miał przerwać ciszę przepaści, w której przebywała tamta dusza? I cóż z tego, gdyby u kolan mu wyznał:

— Najadłem się i napiłem się widokiem twoim w głodzie moim i straszliwą stała mi się ulga moja...

Miałże mu opowiedzieć historię złego spojrzenia“?

*

TYLE literatura. A oto rzeczywistość.

Stefan Żeromski miał jedynego syna, Adasia. Znamy go dobrze ze wspomnienia, które mu ojciec poświęcił*). Znamy go i z tych cudownych lat dziecinnych spędzonych w Nałęczowie, i z pełnych przygód młodzieńczych wypraw przy boku ojca zagranicą — na Capri chodził na wycieczki w towarzystwie Maksyma Gorkiego, a w Londynie słuchał w parlamencie przemówienia Lloyda George'a — znamy Adasia jako szczęśliwego ucznia liceum paryskiego, a potem ucznia krakowskiego gimnazjum. W Krakowie (r. 1912) trzynastoletni Adaś, zapalony turysta, bierze udział w forsownych marszach, podbiegach, ćwiczeniach. Nabawił się w nich, niestety, choroby płuc, która rzuciła swój cień na chłopięce życie.

Dla poratowania zdrowia przenosi się do Zakopanego, gdzie z przerwami przebywa od r. 1913 do r. 1918. Chodzi tam do gimnazjum, a jednocześnie wyżywa się w sporcie, którego jest entuzjastą.

W jakże pięknych słowach opisuje ojciec wyprawy tatrzańskie swego syna, którego „nic na świecie nie mogło odwieść od tej jedynej rozkoszy“. Nie odwiodły go od niej i zakazy lekarzy, którzy z niepokojem śledzili rozwój choroby w młodzieńczym organizmie.

Adaś rozpoczął uczęszczać do siódmej klasy. „Umysł stał się otwarty, dusza niemal męska. Serce tylko zostało dziecięce. Posłuszeństwo, dobroć, łagodność i taka czystość obyczajów, że ten dorastający młodzieniec nigdy z własnej chęci nie był w kawiarni, nie miał w ustach papierosa, nie znał smaku wódki, nigdy nie kłamał w żadnej okoliczności życia.“ W tej samej siódmej klasie stan zdrowia Adasia pogorszył się tak dalece, że trzeba było na gwałt przerwać naukę i werandować. Nic już nie pomogło, na nic zdały się zabiegi najznakomitszych lekarzy. W willi „Nieczuja“ na ul. Jagiellońskiej zapadł wyrok lekarzy.

W czerwcu 1918 r. Żeromski przewozi syna do Nałęczowa, o którym Adaś tak marzył. W parę tygodni potem, 30 lipca, umiera w domu swego dzieciństwa, na ulubionej „Górze Armatniej“. Koledzy nałęczowscy żegnają druha odśpiewaniem „Roty. A za trumną dębową...

„...Szedłem drogą i usłyszałem psalmy, które tak kochałem za dni mego dzieciństwa, tam, daleko w górach, u świętej Katarzyny:

„Asperges me, Domine, hysopo et mundabor, lavabis me et super nivem dealbabor“...

O, Boże! Przytul do łona przeczystą duszę Adasia...“

DZIEWIĘTNAŚCIE lat miał jedyny syn Żeromskiego, kiedy zgasło w nim życie. W półtora roku mniej więcej potem...

Żeromski mieszkał w tym czasie w Zakopanem, przy ul. Kasprusie, w pensjonacie „Savoy“. W najbliższym sąsiedztwie stał dom góralski zamieszkały przez państwa Kuhnów, urzędniczą rodzinę, która ze względów zdrowotnych musiała przenieść się ze Lwowa do Zakopanego. Pani Kuhnowa niedomagała na płuca, a jej mąż był niewidomy. Łatwo sobie wyobrazić, czym był dla rodziców ich jedynak szesnastoletni podówczas Tadzio. Choć może i nie łatwo. Bo chłopak ten odznaczał się wyjątkową dobrecią i szlachetnością, a zarazem nieprzeciętnymi zdolnościami. W gimnazjum zakopiańskim należał do najlepszych uczniów i kolegów.

A w domu...? Żyje jeszcze w Zakopanem przyjaciółka państwa Kuhnów, która doskonale Tadzia pamięta. Ze łzami w oczach opowiada, jak ochoczo Tadzio spełniał najcięższe nawet posługi domowe, byle tylko ulżyć matce i pomóc jej w gospodarstwie. Ale nie będziemy się odwoływali do wspomnień zacnego świadka, skoro wystarczające świadectwo złożył nam już najbliższy sąsiad państwa Kuhnów:

„Ten duży, tęgi, muskularny, doskonale zbudowany i znakomicie wygimnastykowany młokos nosił wodę do kuchni, rąbał drwa, zamiatał pokoje, odgarniał w zimie śnieg, czyścił ubrania i buty, skrobał kartofle i biegał z koszem po sprawunki do sklepów. Nieraz przyszło mu przełknąć gorzką drwinę z ust młodych pokojówek i kucharek, wśród śmiechu za nim rzuconą, gdy gnał do magla ze stosem bielizny albo pchał na wózeczku worek z kartoflami. Puszczał to jednak mimo uszu, jak zresztą wiele innych ludzkich opinii... Wszystko robił śpiewając i podskakując. Można by powiedzieć, że ten młody człowiek pędził życie w prysiudy, a wszelkie czynności życiowe traktował jako nieuniknione przerwy między jedną piosenką a drugą. Te rozmaite śpiewanki zdawały się nosić go po świecie, jak skrzydła noszą ptaka“—

A cóż byłby robił niewidomy ojciec bez swego jedynaka? Nie tylko Żeromski, ale wielu innych mieszkańców ul. Kasprusie patrzyło codziennie na obraz, którego tragizm ginął pod barwami szczęścia: jak oto ślepiec, prowadzony pod ramię przez syna, uśmiechał się do świata. Jak promieniała mu skupiona twarz, kiedy Tadzio, przytulony do jego kolan czytał na głos gazety i książki...

Nadszedł dzień 7. września 1919 roku. Była to niedziela. Długo przez Tadzia wyczekiwana niedziela. Bo tego dnia miał pójść po raz pierwszy na dalszą wycieczkę górską. Rodzice, w trosce o jedynaka, nie pozwalali mu chodzić w Tatry, ale udało się wreszcie jakoś matkę ubłagać. I choć ojciec był temu przeciwny, Tadzio poczynił już w przeddzień przygotowania do wyprawy. Tuż jednak przed wyruszeniem w góry wrócił z nabożeństwa szkolnego do domu i jeszcze raz zaczął prosić ojca o pozwolenie. Tym razem ojciec uległ... Radość chłopca nie miała granic, kiedy rankiem 7. września ruszył wraz z kolegą na wysokogórską wyprawę.

*

COROCZNIE w listopadzie członkowie Sodalicji Mariańskiej udawali się wraz ze swym moderatorem, ks. Winkowskim, na cmentarz przy ul. Nowotarskiej, by pomodlić się za dusze zmarłych sodalistów. Przy jednym z tych grobów zatrzymywaliśmy się nieco dłużej.

...Byłem świadkiem wielu nieszczęść i tragedii w swym życiu — mówił ks. moderator — a przecież ta była chyba najstraszliwsza. Słyszę jeszcze dziś gwałtowne, natarczywe pukanie w okno mego pokoju wczesnym rankiem 8 września gdzieś koło 5-ej rano. Mnie pierwszemu przyniesiono ściskającą krew w żyłach wiadomość: Tadzio Kuhn zabił się! Jeszcze wczoraj był na nabożeństwie szkolnym, a dziś...

Jako wychowawcy i katechecie Tadzia, powierzono mi najboleśniejszą misję zawiadomienia rodziców o śmierci jedynaka. Poszedłem raniutko na Kasprusie, usiłując przygotować powoli nieszczęsnych do okrutnej nowiny. Ale matka, gdy tylko mnie zobaczyła, pojęła wszystko.

Spadł z Mylnej Przełęczy w stronę Zmarzlego Stawu. Pod wieczór, kiedy mieli już wracać z całodziennej wędrówki, odszedł Tadzio na moment od swego kolegi, by przystanąć nad brzegiem przepaści i napatrzeć się po raz ostatni cudnemu widokowi. Nagle —urwał się kruchy, zwietrzały głaz, porywając za sobą chłopca. Runął w przepaść zabijając się na miejscu.

*

Na cmentarzu zakopiańskim, w obliczu Tatr, stoi pod krzakiem jarzębiny szary, granitowy głaz. Nie łatwo go odnaleźć wśród wielu kamiennych nagrobków, choć szczyt jego ostry i wysoki. Kto jednak go odszuka, ten dojrzy na pionowej ścianie skalnej wyryty napis:

†

ŚP. TADEUSZ KUHN

UR. 1903

RWAŁ SIĘ KU SZCZYTOM

I

PADŁ ICH OFIARĄ

DN. 7.IX.1919

*) Stefan Żeromski. „O Adamie Żeromskim wspomnienie“.

Rozmyślania o przedłużonym życiu

MYŚLĘ, że kolega an. prowadzący interesujące sprawozdania z ruchu wydawniczego pod szyldem „Aktualia księgarniane“ nie weźmie mi za złe tej kradzieży tematu. Książka, o której parę słów powiemy, nie całkiem może mieściłaby się w jego pożytecznej rubryce redagowanej z punktu widzenia tzw. „Masowego odbiorcy“ jako też „szerokich rzesz“, gdyż jest ona wydawnictwem raczej dla fachowców, do których dotrze innymi drogami niż przez półki księgarskie.

Trzeba zacząć od początku. A na początku wspomnienie.

Najbardziej uciążliwym rozdziałem literatury polskiej pozostało w mojej pamięci Średniowiecze. Trzeba było koniecznie pamiętać długie tytuły i do tego jeszcze daty. Miało się świadomość zupełnej bezużyteczności tej wiedzy, bo z góry wykluczałem, że ani Kazań Świętokrzyskich ani kroniki Galla czytać nie będę i z żadnym z tych czcigodnych pomników rodzinnego piśmiennictwa los mnie napewno nie zetknie.

Aliści w środku lata na wakacjach zawędrowały do mnie „Rozmyślania o żywocie Pana Jezusa“ jeden z najważniejszych zabytków naszej literatury i języka. Manuskrypt pochodzi z XV w. i znajdował się w zbiorach kapituły grecko-katolickiej w Przemyślu. Szczęśliwie przetrwał wojnę, a teraz zabezpieczony i otoczony pieczołowitą opieką spoczywa w Bibliotece Narodowej w Warszawie.

Jest to gruby ponad 800 stronic liczący kodeks, oprawny w deski, obciągnięty brunatną skórą, z mosiężnymi klamrami po boku. Papier ongiś biały, dziś pożółkły, zapisany jedną ręką, gotyckim pismem, czarnym, nadgryzającym papier inkaustem jest ubogo zdobiony — ledwie trochę czerwieni przy inicjałach. Ale prawdziwe skarby tkwią gdzie indziej.

„Doniosłe jego znaczenie — pisze prof. Stefan Vrtel-Wierczyński, polega przede wszystkim na treści, na zaletach narracyjnych, na samodzielnej kompozycji i redakcji. Jest to obszerna opowieść apokryficzna o życiu Chrystusa, Najświętszej Rodziny, pierwszy w naszej literaturze romans duchowny, najciekawsza lektura z całego naszego piśmiennictwa średniowiecznego“.

Ktoś słusznie powiedział, że książki mają tych samych wrogów co ludzie: pożary, wojny, wilgość. A ponieważ „Rozmyślania przemyskie“ przeżyły pięćset blisko lat — znaleźli się tacy, którzy pomyśleli o tym, aby nadwątlonemu zabytkowi przedłużyć żywot. Staraniem Towarzystwa Warszawskiego ukazało się fototypiczne wydanie oryginału, w nakładzie o jakim cierpliwy przepisywacz dzieła—ani marzył. 1000 egzemplarzy ogromnego foliału rozejdzie się do bibliotek, seminariów, pracowni uczonych by odtąd stanowić materiał nauki, studiów i dociekań. Oryginał jest tedy zabezpieczony, a praca toczy się w wielu ośrodkach na wiernych podobiznach oryginału, odtworzonych karta po karcie.

Wydawcą dzieła jest znakomity znawca literatury średniowiecznej prof. Vrtel-Wierczyński. Z jego wstępu dowiadujemy się o dziejach książki, o tym ile trudu wsiąkło w karty nowego wydania „Rozmyślań“. Trudu nie tylko uczonego ale dzielnych towarzyszy sztuki drukarskiej: kopistów, trawiaczy, maszynistów, składaczy i fotografów.

Żałuję bardzo, że jako profan nie mogłem zakosztować uroków treści. Trzeba długo przyzwyczajać się do kształtu liter, do tej chwiejnej i chaotycznej pisowni bez interpunkcji, pełnej zato błędów i omyłek. Trzeba wiedzieć, że *chelst* to znaczy szum, *siebr* — towarzysz, *wrępny* — piękny i wiele jeszcze innych dziwów. A najwięcej żałuję, że nie mogę przeczytać co autor Rozmyślań — pono świetny narrator — opowiedział w rozdziale 108.

o tem jako myly iesus zavyeschal dzban na promyenyv slonecznym.

Pocieszam się jednak, bo niezmordowani wydawcy zapowiadają tekst w transliteracji i transkrybcji, a do tego obszerny wstęp, bibliografię i słowniki.

Nawet jeśli pozostanie się nieczułym na erudycyjne uroki nowego wydania „Rozmyślań“, nawet jeśli nie obejmie się kulturalnej wagi tego edytorskiego czynu, pozostanie to co może udzielić się także tym, którzy jak niżej podpisany zdołali odczytać zaledwie parę słów rękopisu. To coś można chyba najbardziej nazwać wzruszeniem książką.

Książki mają bowiem tych samych wrogów co ludzie: wojny, pożary, wilgoć. Mają też swoich oddanych przyjaciół. I nie martwmy się o losy kultur, nie drżyjmy nad przepaściami wieków, nie mówmy o pogłębiającym się nieporozumieniu epok — dopóki oni czuwają.

Stefan Martha

Z TEATRÓW KRAKOWSKICH

SEZON letni kończymy pod znakiem wieku osiemnastego. Zarówno scena im. Słowackiego jak i teatr Młodego Widza wprowadziły nas w pełni w epokę stanisławowską. Ciekawe jest zestawienie obu tych premier. „Król i aktor" Brandstaettera ujmujący ową epokę pod dzisiejszym kątem widzenia jest utworem wielowarstwowym i rzecz to reżyserii, a w znacznej mierze również i osobistego nastawienia widza, która z tych warstw przebija się najwyraźniej. „Powrót posła" Niemcewicza będący żywą aktualnością sprzed lat blisko dwustu nabrał dzięki szczególnym a zawsze nieoczekiwanym zwrotom historii — świeżej aktualności. Zarówno jeden zaś jak i drugi utwór, będąc dziełem pierwszorzędnego — choć jakże odmiennego w każdym z tych wypadków! — talentu i doskonałej roboty scenicznej, żywo przemawia ze sceny. Idzie więc tylko o to, jaka jest oprawa i jaka obsada ról.

W „Królu i aktorze" położono nacisk raczej na stronę ideologiczną. Oprawa stylowa i tło dekoracyjne nie podlega żadnym specjalnym zarzutom, ale też nie odznacza się niczym szczególnym. Dziwną jednak przekorą ze strony tegorocznej dyrekcji Teatru Słowackiego jest stałe obsadzanie ról (nie wszystkich, oczywiście!) postaciami, których sama aparycja zewnętrzna nie nadaje się do takiej właśnie roli. Dotyczy to zwłaszcza figur niskich, podstępnych, a w każdym razie nieszlachetnych, do których kreowania wybiera się aktorów o wybitnie szlachetnej powierzchowności. Taki na przykład eks kamerdyner Ryx, intrygant, parweniusz, którego nikczemną karierę życiową opowiada szczegółowo odtrącony i pogardzony obecnie wspólnik — ma tak pańską minę i gest wielkopański, że możnaby go raczej wziąć za jakiegoś Telleyranda, za jednego z owych drapieżnych tygrysów, kierujących biegiem historii, a nie za pieska jednego z licznej sfory kręcącej się w ciasnych opłotkach intryg dworskich, zmyślniejszego tylko i silniejszego od innych, jakim powinien się okazać.

Książę Pepi, niezależnie od rysów, jakie mu może tylko dla zadowolenia własnej fantazji nadał autor, jest postacią przynajmniej co do cech zewnętrznych, tak popularną, że należało by nie cofając się w tym wypadku przed obawą szablonu, nadać mu charakteryzację, według któregoś ze znanych powszechnie portretów (a przede wszystkim owe słynne, czarne oczy, co do których, gdy szło o napis na wieńcu przy obchodzie stulecia bitwy pod Lipskiem, ktoś zaproponował: „Posiadaczowi najpiękniejszych oczu w Polsce"...). Tymczasem ujrzeliśmy na scenie kogoś zupełnie nieznajomego, siłacza o szerokich barach, który ani w obejściu ani w powierzchowności nie zdradzał historycznego „zjadacza serc" przebłyskującego już przyszłym bohaterstwem.

Za to pani Vauban, która w rzeczywistości przybyła do Polski już na emeryturę, z pewnością ucieszyłaby się wielce, widząc siebie dzięki autorowi i odtwórczyni tak odmłodzoną, chociaż histeryczne wybuchy temperamentu niezupełnie sprzyjały finezji w prowadzeniu intryg.

Najfatalniejszą jednak charakteryzację miał Bogusławski. Nic tu nie pomogła ani dobra gra, ani szczere przejęcie się odtwarzaną postacią. Rola sama przez się rezonerska wymagała koniecznie atrakcyjnych warunków osobistych, tymczasem niepodobna wręcz było uwierzyć, że to ten sam uroczy Zeus, który przed paru laty tyle mątu narobił w domu zacnego Amfitriona. Nic zatem dziwnego, że i Dorota chcąc wskrzesić dawne uczucia nie wyzbywała się jednak abnegacji w jaką popadła w owym zapadłym kącie.

Staszica przywykliśmy zawsze oglądać oczyma wyobraźni jako przygarbionego i cokolwiek zdziwaczałego staruszka („a znasz ty księdza Staszica, co zamiast „oyca", mówi „oica"?"), który na przykład wstydząc się swoich zamiłowań teatralnych, chadzał na paradys w przebraniu i ciemnych okularach. A na scenie zobaczyliśmy aktora postawnego, nadającego się raczej do roli króla i nawykłego do odtwarzania postaci reprezentacyjnych, wskutek czego wygłaszane przezeń tyrady sprawiały wrażenie nudy, podczas gdy przy odpowiedniej charakteryzacji i przy powierzeniu roli specjaliście od ról charakterystycznych mogłyby stać się czymś bardzo żywym zwłaszcza przez kontrast z wytwornością księcia Pepi.

Najtrafniej obsadzona była postać króla Stasia. Odtwórca widocznie dobrze się czuł w tej roli. Zarówno gest i całe obejście, jak i uwydatnienie walk wewnętrznych oraz sprzeczności tego wbrew własnej woli tragicznego charakteru, jak wreszcie zaznaczenie różnych niedomówień wszystko to znalazło wyraz należyty. Ciekawa rzecz, jak wiele znaczy dla aktora wżycie się w rolę, która mu odpowiada. Znowu wydało się nieprawdopodobne, i nie do uwierzenia, że to ten sam artysta, który tak zepsuł rolę Papkina w „Zemście".

Co do ról epizodycznych bardzo dobrze wypadli Wojtaszek i Branicki.

TEATR Młodego Widza przystąpił do wystawienia „Powrotu posła" z wielkim staraniem. Dykcja była nienaganna, czysty i równy wiersz autora „Śpiewów Historycznych" wyszedł bez zarzutu, w ogóle i w każdym szczególe znać było dbałość o utrzymanie przedstawienia na należytym poziomie. Na pierwszy plan wysunęła się rola Starosty. Ten był po prostu świetny. Podkomorzy i Podkomorzyna grali dobrze, ze szczerością i przekonaniem wygłaszali swoje szlachetne i mądre sentencje, ale mimo ubiorów stylowych dla tej epoki sprawiali wrażenie sympatycznej pary inteligentów z końca XIX wieku. Bogactwem i rozmaitością strojów olśniewali Szarmancki i Starościna. Właściwie na nich obojgu obok Starosty spoczywał cały ciężar przedstawienia. Ponieważ jednak ich role były dublowane a nawet tryplowane, trudno mi o nich powiedzieć coś stanowczego. Tym wykonawcom, których ja widziałam, brakło jednolitości stylu. Role te powinny być afektowane od początku do końca, każde słowo brzmiące nienaturalnie, każdy ruch sztuczny i pełen przesady, nawet wówczas, gdy wyrażać ma radość czy zadowolenie. Tymczasem Szarmancki wpadł na scenę jak rozbrykany chłopak i miotał się jak szalony, w innych momentach również nie dosyć miał rokokowej wytworności; najlepiej wypadła scena z czytaniem elegii. Starościna miała grę niedość wycieniowaną, zbyt częste były wybuchy ostrego krzyku i nie uwydatniony należycie kontrast między rzekomą poetycznością i omdlewaniem a wyraźnymi przebłyskami despotyzmu i wyrachowania.

Żadna siła ludzka nie zdoła wykrzesać nic żywego z papierowej i na wskroś retorycznej postaci Walerego. Szkoda nawet na nią dobrego aktora. Wystarczy, żeby był ucharakteryzowany według jakiegoś możliwie najładniejszego portretu młodego polonusa (jest jeden taki śliczny, w białym ubraniu, ze zbiorów krzeszowickich) i żeby dobrze mówił wiersze, co jak już powiedziano wyżej, czynili wszyscy.

Warto by też raz się już zdecydować na ubranie kozaka dworskiego, zwłaszcza, że to tak łatwo: po prostu ubiór z szarego płótna, spodnie bufiaste wpuszczone w buty i bluza długa do kolan przepasana szerokim pasem czerwonym, bawełnianym (może być także ubranie niebieskie i pas żółty, ale o to już trudniej). Głowa naturalnie odkryta (kozak który w „osełedcu" wchodzi do pokoju i wypełnia rozmaite polecenia swego pana, wygląda dziwacznie).

Uprzednią premierą tego teatru był „Poemat pedagogiczny" według sławnej powieści Makarenki. W tej przeróbce, którą widzieliśmy w Krakowie, wybrano z licznych bardzo epizodów tej powieści niektóre uznane za sensacyjne i połączono je w jeden wątek dramatyczny, czyniąc w ten sposób najważniejszym, a raczej jedynie ważnym to, co w opowieści epickiej posiada znaczenie drugo, albo nawet trzeciorzędne. Stąd zatarcie istotnej ideowości utworu, a niedostateczne pogłębienie tego, co w nim jest dramatycznego. Dla widza, który nie zna powieści, wiele rzeczy jest tu niezrozumiałych, a nawet wręcz bezsensownych jak np. ów złodziej, który kradnąc konie twierdzi, że robi to z miłości do nich! Nie dowiadujemy się też ostatecznie czy główny bohater sztuki, to jest sam Makarenko został uwolniony z ciążącego na nim oskarżenia, czy też nie. Rzecz ta gubi się gdzieś pod koniec akcji. Reżyseria była zresztą sprawna, a tempo żywe, ale trochę rozkrzyczane. Podobny zarzut można postawić i granej w Starym Teatrze sztuce Gruszczyńskiego „Pociąg do Marsylii". Podobny bowiem błąd częściowo rozładowuje dramatyczne napięcie jakiego nie brak w tym utworze. Omawiać go nie potrzebuję, ponieważ znany jest widzom warszawskim, a nawet, jeśli się nie mylę, wszystkich teatrów polskich. Inscenizacja i wykonanie go u nas było, można to bez przesady powiedzieć, doskonałe. Reżyseria wydobyła umiejętnie wszystkie wartości sztuki, zespół grał ją ze szczerym odczuciem i w sposób tak wyrównany, że zbliża się to do tego ideału zbiorowości, jaki stanowi wytyczną współczesnej gry aktorskiej. Gdyby tylko cokolwiek obniżyć diapazon głosów, rzecz byłaby bez zarzutu.

OSTATNIĄ nowością ukazaną nam dopiero na „Dni Krakowa", było przedstawienie pod gołym niebem w Barbakanie za bramą Floriańską. Przedstawienia te mają już ustaloną markę, tak, iż co roku oczekuje się na nie z upragnieniem. Samo wnętrze Barbakanu przy zapadającym stopniowo zmroku i wybłyskujących na pociemniałym niebie gwiazdach ponad zębatymi murami starej fortecy stanowi dekorację tak przedziwną i przenoszącą w świat fantazji, że utwór, byle nie raził jakimś zgrzytem, zaczyna grać sam i nic nie mąci czaru rozwijającego się na scenie.

Tym razem przedstawienie było podwójnie ciekawe, ponieważ organizował je i wykonywał młody zespół uczniowski Wyższej Szkoły Dramatycznej. Wyboru dokonano trafnie. Obrano jedną z wcześniejszych i stosunkowo mało znanych komedii Szekspira, „Dwaj kawalerowie z Werony" w doskonałym przekładzie Koźmiana. Barbakan jakby stworzony na odegrywanie sztuk szekspirowskich. Na takim lub zapewne podobnym tle grywano je po raz pierwszy przed czterema wiekami. Dekoracje niepotrzebne. Za Szekspira nie używano ich przecie. Naiwne zaś tablice z napisami oznaczającymi miejsce akcji, zastąpiono w sposób nader pomysłowy. Oto w rogu sceny przypartej wprost do muru zawieszono na balustradzie krużganka pierwszego piętra jeden na drugim trzy niby to gobeliny w rzeczywistości namalowane na płótnie. Jeden z nich przedstawia według starego sztychu widok Werony z napisem stylizowanymi literami oznaczającym nazwę miasta, drugi — taki sam widok Mediolanu, trzeci — wnętrze lasu z umieszczoną pośrodku postacią naturalnej wielkości jelenia w stylu arrasów wawelskich, a wszystko to w tonie spłowiałego arrasu. Za każdą z następujących co chwila zmian sceny podciąga się do góry lub opuszcza na dół jeden lub dwa arrasy odsłaniając w ten sposób albo spuszczając ten, który jest potrzebny, i widz od razu wie, gdzie się rzecz dzieje. Prolog, epilog i interludia pióra dramaturga, Kazimierza Barnasia, doskonale recytowane przez herolda — w ogóle dykcja była wyborna — objaśniają wszystko co potrzeba i rzucają światło na tło i epokę. Muzyka Antoniego Żulińskiego dostosowana wyśmienicie, jak zawsze u tego kompozytora, do stylu i treści, bądź przygrywa do tańców i piosenek, bądź zaznacza tok akcji. Kostiumy według starych ilustracji. A młodzież gra... gra... Co parę dni występuje inny zespół, bo przecież dużo jest tego narybku aktorskiego. Ale wszyscy grają równie ochoczo, i bawią się przy tym doskonale, a razem z nimi bawi się i publiczność. A kiedy się w noc gwiaździstą wychodzi z tych murów średniowiecznych pod drzewa plantów — nikt by się nie zdziwił, gdyby z cienia drzew ukazał się nagle Szekspir z tym otwartym i rozchylonym u szyi kołnierzem od koszuli, tak jak go znamy z portretu..

A. S.

Z wytycznych piątej pięciolatki

(Dokończenie ze str. 2.)

Pokojowy rozwój ekonomiki radzieckiej, nakreślony przez plan 5-letni, stanowi przeciwieństwo ekonomiki krajów kapitalistycznych, kroczących drogą militaryzacji gospodarki narodowej, otrzymania najwyższych zysków dla kapitalistów i dalszego zubożenia mas pracujących.

Zadania postawione przez plan 5-letni wymagają wielkich wysiłków od organizacji partyjnych, radzieckich, gospodarczych, związkowych, komsomolskich i zobowiązują je do mobilizowania szerokich mas pracujących w celu wykonania i przekroczenia nowego planu 5-letniego, rozwijając szeroką krytykę braków w pracy naszych organizacji w celu jak najszybszego zlikwidowania tych braków.

Należy koniecznie udzielać wszechstronnej pomocy nowatorom produkcji przemysłowej i kołchozowej, przodownikom transportu i innych gałęzi gospodarki narodowej w ich dążeniu do zwiększenia produkcji, podniesienia wydajności pracy, obniżenia kosztów własnych.

Wielka siła współzawodnictwa socjalistycznego, jednomyślne dążenie robotników, kołchoźników i inteligencji do obrony sprawy pokoju, niezachwiane zdecydowanie mas pracujących zbudowania społeczeństwa komunistycznego — powinny być skierowane ku wykonaniu i przekroczeniu nowej 5-latki.

Narody Związku Radzieckiego pod wypróbowanym kierownictwem partii komunistycznej wykonają z powodzeniem nowy plan 5-letni.

„SŁONECZNE LATO"

LATO 1952 roku było naprawdę słoneczne... Najprzyjemniejsze było ono dla tych, którzy korzystali ze słońca na wczasach, urlopach. Ci, którzy zostali w miastach trochę narzekali na upały, ale za to po pracy z radością odpoczywali w parkach, na pływalniach lub, jak warszawiacy, nad Wisłą. A dla dzieci jakie było to lato? Takie, jak już od paru lat — spędzone na wsi, w lesie, nad morzem, lub w górach — na koloniach i obozach. Takie jak powinny być prawdziwe wakacje — słoneczne pod każdym względem. Jedne z takich właśnie prawdziwych wakacji opisuje w swojej książce „Słoneczne lato" — Wojciech Żukrowski, ilustrowanej licznymi fotografiami T. Przypkowskiego *).

Książeczka ta jest, jakby pamiętnikiem dziewczynki ze spędzonych chwil na wsi. Nie znajdzie tu czytelnik żywej akcji, zanotowane są jedynie wydarzenia z życia kolonii, tak, jak je widzi dziecko, tak jak by je opowiedziało swoim rodzicom po powrocie do domu. Dziewczynka porusza tylko te sprawy, które są dla niej najważniejsze jak na przykład: zwiedzanie tartaku, muzeum, zabawy nad potokiem, w lesie, wypadek z grabiami, złamane malwy itd. Nie opisuje miejsca pobytu, nie daje obrazu życia kolonii, zatrzymuje się tylko nad tym co dla niej jest najbliższe, co jej bezpośrednio dotyczy. Autor niezwykle trafnie wczuł się w psychikę dziecka, patrzy jego oczami i mówi jego językiem tak dobrze, iż chwilami zapomina się, że książka napisana jest nie przez małą Kazię, a przez dorosłego pana Żukrowskiego..

Są w książce fragmenty, gdzie poetyckość opisu przyrody jest nie dziecięca „...niżej lecą obłoki. Uciekają pośpiesznie, bo sosny łaskoczą je po białych brzuszkach, żeby im słońca nie zasłoniły. Obłoki tak się skręcają, jakby pękały ze śmiechu", ale styl pozostaje nadal lekki, zdania krótkie i zwięzłe, myśli wyrażane jasno z charakterystyczną dziecięcą prostotą: „Mamy z Tereską swoje sekrety. Ten z paprociami już nieważny, bo wszystkim rozgadała. Teraz mamy nowy".

W pamiętniku dziewczynki znajdują swój wyraz jej przeżycia, ale także zanotowane są, na pozór małe, zdobyte doświadczeniem wiadomości. Autor dyskretnie zaznajamia czytelników z najróżnorodniejszymi zjawiskami przyrody. Nie słyszy dziecko długiego opowiadania nauczycielki o szkółce leśnej, o kwiatach paproci, nie chodzi bowiem Żukrowskiemu o podanie sztucznie jak największej ilości wiadomości, ale o wzbudzenie zainteresowania pewnymi zjawiskami z najbliższego otoczenia dziecka. Nie stwarza mechanicznie sytuacji, wystarczy mu to niezbyt urozmaicone otoczenie, jak dom, podwórko, łąka, skrawek lasu. Dosyć znajdzie się tu spraw ważnych, które przeżywają dzieci co dzień, które zapamiętają, które przydadzą im się w życiu.

Rzadko spotykana forma książki (książka pisana dla dzieci przez dziecko) czyni ją bliższą małemu odbiorcy. Przez usta dziewczynki autor wyraża największe troski dziecka (zburzenie tamy przez potok) i jego wielkie radości (ciepłe kałuże po deszczu). W książce tej dziecko samo rozwiązuje swój konflikt ukrycia się, czy przyznania się do winy (połamanie malw), samo widzi brzydotę kłamstwa kolegi, lub niewłaściwość postępowania grupy wobec nowych towarzyszy, pisze o tym szczerze z własnej woli, gdyż sprawy te są dla niego ważne.

„Słoneczne lato" musi dziecko zainteresować swoją bliskością problemów i przeżyć. Musi ująć prostotą i trafnością spostrzeżeń, które z pewnością każde dziecko po powrocie z wakacji nagromadziło. Wiele spraw zaobserwowanych przez dzieci, ale nie zrozumianych wyjaśnia, uczy dochodzenia przyczyn pewnych zjawisk, zbliża je.

Liczne i dobrze dobrane do tekstu fotografie T. Przypkowskiego urozmaicają książkę nadając jej interesujący wygląd zewnętrzny, jednocześnie zachęcając nie tylko do przeglądnięcia, ale i do przeczytania z uwagą.

Z. Cz

*) „Słoneczne lato" T. Przypkowski, W. Żukrowski, Nasza Księgarnia, Warszawa 1952 r.

LESZCZ

»DITTA«

Ditta. Reżyseria: Bjarne Henning Jensen i Astrid Henning Jensen, scenariusz: Bjarne Henning Jensen, operator: Verner Jensen, muzyka: Herm D. Kuppel. W rolach głównych: Tove Maes, Maria Garland, Ebbe Rode, Edwin Tienroth.

Powieść M. A. Nexö **Ditta** mówiąca o całym życiu Ditty, składa się z pięciu części. Realizatorzy filmu wykorzystali fabułę 3 pierwszych, selekcjonując wątki powieści w ten sposób, by film stanowił zwartą kompozycyjnie całość. Ich pietyzm w stosunku do tekstu książki wpływa na to, iż widz po obejrzeniu filmu ma wrażenie, że widział niemal dosłownie bez żadnych zmian przeniesiony na ekran tekst literacki. Rzeczywiście scenariusz jest rardzo wierną adaptacją p o w i e ś c i. Jest zaledwie parę drobnych scen dodanych (monolog Ditty powtarzającej słowa dziadka, zabawa Johanesa z dziećmi) lub lekko zmienionych (scena z cukrem, wyjazd Ditty do domu).



Wrażenie identyczności filmu z kilkusetstronicową partią powieści (w polskim jednotomowym wydaniu 314 stron) świadczy o doskonałej selekcji epizodów, świetnym zastosowaniu skrótów sytuacyjnych, trafnym przeniesieniu na ekran partii opisowych. Film zamyka się podwójną klamrą: pierwsza — jest to komentarz autora otwierający w powieści trzeci rozdział i kończący ostatni, druga zaś jest sytuacyjna, polega na dobitnie wydobytym w filmie a nie wyeksponowanym paralelizmie sytuacji Ditty i jej matki. Ta mocna klamra nadaje filmowi charakter zwartej, dobrze skomponowanej całości. Scenarzysta selekcjonując materiał powieści wybrał prócz scen, mających wpływ na rozwój głównego wątku fabuły, wszystkie sceny, które najmocniej charakteryzują występujące tam osoby i tło konfliktów, wyraźnie dążąc do jak największego zbliżenia psychologicznego postaci. Charakterystyczne jest także to, że film podkreślił i bardzo ładnie wydobył wszystkie niemal epizody pogodne, mające cechy komizmu sytuacyjnego czy swoistego humoru.

Prócz tego epizody dodane przez scenarzystę (wspomniany monolog Ditty przed śmiercią dziadka, scena z cukrem, nocna rozmowa Ditty z małym Pawełkiem) wnoszą do filmu pierwiastek humoru. Spełniają one w filmie ściśle określoną funkcję: pokazując dziecięcy sposób reagowania na świat, kontrastując beztroskę i pogodę dziecka z wymową wydarzeń i przez to z jednej strony wzmacniają patos i siłę oskarżenia stosunków społecznych, z drugiej wzruszają dzięki wprowadzeniu dużego ładunku prawdy psychologicznej.

Film operujący kontrastami i sytuacyjnymi i psychologicznymi i moralnymi opisujący wydarzenia bardzo brutalne, szczególnie ponurą historię krzywdy dziecka, nędzę i upośledzenie ludzi skazanych przez społeczne stosunki i przesądy obyczajowe na upokorzenia i cierpienie, ma dzięki subtelności psychologicznej bardzo dużo ciepła i wiary w człowieka. Dobroć i afirmatywny stosunek do życia Ditty, której charakter kształtuje się w naszych oczach, moralne piękno Larsa, urok babki, bardzo umiejętnie, subtelnie wydobywane w filmie pozytywne, ujmujące i wzruszające cechy bohaterów — to największe, sądzę, osiągnięcia realizatorów filmu. Ta subtelność sprawia, że okropne wypadki oskarżające społeczeństwo, które doprowadza do takich stosunków między ludźmi nie wymagają pośredniego komentarza ideologicznego, że widz uczuciowo reaguje na wymowę wydarzeń, sam adresując oskarżenie.



Na artystyczną wartość filmu ogromnie wpływa poza wycieniowaniem psychologicznym wszystkich pierwszoplanowych postaci staranność opracowania tła. Dostrzega się dążenie do dokumentalnego niemal autentyzmu i umiejętność operowania jakąś dużą metaforą, co i w rysunku sylwetek psychologicznych bohaterów. Precyzja wydobywania cech krajobrazu, pory roku, szczegółów wnętrz, akcentowania piękna pejzażu (w tym samym stopniu i w tym samym często celu artystycznym, jak piękna ludzkich charakterów) świetnie legitymują kulturę artystyczną i talent operatora i reżysera. Często stosowany chwyt: akcentowania paralelizmu przeżyć ludzkich i nastroju tła w Ditcie dzięki cechom autentyzmu pejzażu, pięknym zdjęciom plenerowym zyskuje wielką świeżość (odjazd Ditty od babki, sceny z dziećmi w Sroczym Gnieździe, epizody na pastwisku).

W zasadzie fabuła filmu nie zmuszała realizatorów do eksponowania miejsca akcji. Jeśli używam słowa autentyzm, myślę o ciekawym w tym filmie połączeniu dokumentalnej ścisłości pokazywania tła z metaforyczną, podporządkowaną akcji powieści funkcją, którą to tło spełnia w filmie.

Błędy filmu wynikają, wydaje się, ze zbyt dosłownego trzymania się tekstu literackiego. Żywcem przeniesiona z książki, a w filmowym skrócie nie dostatecznie umotywowana scena ostatniej rozmowy dziadka Ditty ma w sobie coś groteskowego. Także stosunek Soriny do Ditty nie umotywowany, tak jak w powieści, niechęcią do dziecka, które powodują plotki sąsiadów, wywiera wrażenie czegoś uproszczonego i nie dostatecznie wyjaśnionego. Rażącą jest wizja konfirmacji, fałszywie liryczna i kontrastująca nieprzyjemnie z całym stylem filmu. — Wywiera niezamierzony komiczny efekt.

Mijając ludzi wychodzących z kina po zakończonym seansie, słyszałam jak znający powieść M. Nexö widzowie informowali swoich towarzyszy o dalszych dziejach Ditty mniej więcej tak: Później umarła jej matka, Lars się ożenił, Ditta po urodzeniu dziecka wyjechała do miasta, była służącą itd. Mówiono tak jakby historia Ditty nie była dalszą fabułą powieści, ale znanym losem kogoś bardzo bliskiego. Sposób opowiadania świadczy o tym że film potrafił Dittę zbliżyć, że przejął jej losem, umiał literacką fikcję wyposażyć w cechy autentyzmu.

Karlowe Vary — 1952

PRZEGLĄDAJĄC prasę zachodnio-europejską, można stwierdzić, że z roku na rok wzrasta zainteresowanie opinii filmowej całego świata międzynarodowymi festiwalami filmowymi w Karlovych Varach. Wzmianki i sprawozdania z tegorocznego festiwalu drukowała niemal cała prasa filmowa zachodniej Europy — stwierdzając, że festiwale w Karlovych Varach zyskały sobie zupełnie specyficzną pozycję w historii kinematografii.

Uczestnicy tegorocznego festiwalu obejrzeli sto kilkadziesiąt filmów reprezentujących 5 kontynentów, w tym filmy krajów, których kinematografie są zupełnie nieznane w Europie. Tego rodzaju przegląd ma charakter spotkania różnych cywilizacji, o odmiennych tradycjach kulturalnych, będące jednocześnie zestawieniem postępowych dążeń twórców filmowych całego świata.

Po raz pierwszy w Europie ciekawie debiutowały kinematografie: urugwajska, indonezyjska i australijska. Pokazywane były niemal nieznane na świecie filmy indyjskie. Film indonezyjski *Mały kaleka*, opowiadający o życiu bezdomnych dzieci otrzymał specjalny dyplom honorowy. Filmy indyjskie mówiące o nędzy i niedoli indyjskiego proletariatu były na festiwalu głosem olbrzymiego i mało znanego narodu o starej i pięknej kulturze.

Chińskie i koreańskie filmy zdobyły szereg nagród. Nagrodę Walki o Wolność otrzymał chiński film *Ludowi bojownicy* i koreański *Znowu na froncie*. Młoda kinematografia koreańska zrodzona dosłownie w ogniu walki otrzymała także nagrodę za filmowe reportaże wojenne.

Postępowy francuski krytyk filmowy Georges Sadoul omawiając festiwal w Karlowych Varach tak napisał o chińskich i koreańskich filmach: *Zdumiewa mnie przede wszystkim różnorodność typów ludzkich tak odmiennie od nas wyrażających swoje uczucia. Podziwiam też różnorodność reżyserii i wielorakość środków ekspresji filmowej.*

Również debiutem był albański długometrażowy film dokumentalny *Droga do sławy*, nagrodzony dyplomem honorowym.

Ogólne zainteresowanie wzbudził bułgarski film (trzeci z kolei fabularny) *Danka*, w którym za świetną kreację aktorską Milka Tujkow otrzymała specjalną nagrodę. Dobrze reprezentowana była na Festiwalu kinematografia NRD. Wielką Nagrodę Pokoju otrzymał film reż. Martina Hellibergа *Skazana wioska*, nagrodę za reżyserię otrzymał Slatan Dudow za kolorowy film *Losy kobiet*.

WIELKA NAGRODA ZA PEŁNOMETRAŻOWY FILM FABULARNY

Niezapomniany rok 1919 (ZSRR) — Dzieło to wyróżniające się wysokimi walorami ideowymi i artystycznym mistrzostwem wszystkich jego elementów twórczych stanowi porywający historyczny obraz z epoki leninowsko-stalinowskiej i dzięki swej rewolucyjnej sile posiada niezwykle żywą wymowę w dniu dzisiejszym.

NAGRODA POKOJU ZA FILM, KTÓRY NAJLEPIEJ WYRAŻA IDEĘ WALKI O POKÓJ

Naprzód, młodzieży świata! (Przyjaźń zwycięży) — (ZSRR i NRD) — Film ten radośnie i porywająco wyraża idee pokoju i przyjaźni między narodami poprzez obraz [illegible] Festiwalu Młodzieży w Berlinie 1951.

NAGRODA POKOJU ZA FILM, KTÓRY NAJLEPIEJ WYRAŻA IDEĘ WALKI O POKÓJ

Skazana wioska (NRD)—Film ten swą śmiałą ideą i jej artystycznym ujęciem mobilizuje do walki przeciwko remilitaryzacji Niemiec zachodnich przeciwko budowie baz wojennych przez imperialistów i tym samym umacnia światowy obóz pokoju.

NAGRODA WALKI O WOLNOSC

Ludowi bojownicy (Chiny) — Film ten przekonywająco ukazuje, jak chińscy robotnicy pod kierownictwem Komunistycznej Partii Chin pogłębiali swą świadomość klasową, rozbili w wojnie wyzwoleńczej zbrojne siły reakcji i odnieśli wielkie zwycięstwo w swej braterskiej walce.

NAGRODA WALKI O WOLNOSC

Znowu na froncie (Korea) — Film ten w realistycznej formie ukazuje wielką, bohaterską walkę narodu koreańskiego, broniącego swej wolności i niepodległości przed anglo-amerykańskimi imperialistami.

NAGRODA PRZYJAŹNI MIĘDZY NARODAMI

Barwny film Jutro się będzie tańczyć wszędzie (Czechosłowacja) — za optymistyczne i jasne wyrażenie idei międzynarodowej solidarności młodzieży i podkreślenie wielkiej roli, jaką w tym odgrywa ludowa amatorska twórczość artystyczna.

NAGRODA PRACY

Chrzest bojowy (Węgry) — Film ten daje dramatyczny i sugestywny obraz walki klasowej na wsi, i poprzez ostro zarysowane konflikty ukazuje, jak rośnie nowy człowiek.

NAGRODA WALKI O POSTĘP SPOŁECZNY

Mitrea Cocor (Rumunia) — Film ten maluje trudną, lecz zwycięską drogę rumuńskiego człowieka, który zrzuca jarzmo kapitalistycznej eksploatacji i kroczy ku nowemu szczęśliwemu życiu.

NAGRODA WALKI O POSTĘP SPOŁECZNY

Babla (Indie) — za świadome i śmiałe ukazanie dążeń narodu hinduskiego do osiągnięcia elementarnych społecznych warunków życia.

NAGRODA ZA REPORTAŻ WOJENNY

Koreańskie kroniki i filmy dokumentalne, zrealizowane przez odważnych operatorów, w sposób prawdziwy ukazujące front i zaplecze, a w szczególności dające wstrząsające świadectwo bakteriologicznego barbarzyństwa amerykańskich imperialistów w Korei.

NAGRODA ZA FILM BIOGRAFICZNY

„Młodość Chopina" (Polska) — Film ten ukazuje ludowe i narodowe źródła muzyki Chopina, czerpiącej natchnienie z rewolucyjnych idei jego czasów, i **„Dr Semmelweiss" (Węgry).**

Polską kinematografię reprezentowały następujące filmy: *Młodość Chopina*, *Pierwsze dni*, *Gromada*, *D[illegible] Mistrza Stw[illegible] Częstochowa*. Wszystkie otrzymały nagrody lub wyróżnienia.

Z postępowych filmowców zachodnich nagrodzony został włoski reżyser Carlo Lizzani za ciekawy film *Achtung, bandyci* mówiący o walce partyzantów włoskich z hitlerowcami. Specjalny dyplom honorowy dostał reżyser francuski Claude Autant — Lara organizator Komitetu obrońców francuskiej kinematografii i wybitny działacz francuskiego Komitetu Obrońców Pokoju. Na festiwalu wyświetlany był film jego reżyserii *Czerwona oberża*.

Za grę aktorską nagrodę otrzymał świetny aktor francuski Pierre Fresnay, którego katolicka publiczność zna z roli Św. Wincentego w filmie Monsieur Vincent, i z roli Tomasza w filmie *Bóg potrzebuje ludzi*. Na festiwalu wyświetlany był film *Monsieur Fabre* z Fresnayem w roli tytułowej.

Cała prasa zachodnia stwierdza, że na tegorocznym festiwalu, kraje zachodniej Europy były wyjątkowo słabo reprezentowane. Komitety kwalifikujące filmy na festiwal w Karlovych Varach odrzuciły szereg postępowych filmów swoich krajów tak, że nie został wysłany m.in. ani film René Clementa *Wzbronione zabawy* ani *Rzym godzina 11* de Santisa.

Największy sukces odniosła kinematografia radziecka otrzymując za kolorowy film „Niezapomniany rok 1919" Wielką Nagrodę. Specjalny Dyplom honorowy in Memoriam przyznany został pośmiertnie Igorowi Sawczence za film o narodowym poecie ukraińskim Tarasie Szewczenko. Nagrodzony został również aktor radziecki Sergiusz Bondarczyk za odtworzenie postaci bohatera Tarasa Szewczenki.

L. Giel.

Wydawca: Stowarzyszenie PAX, redaguje zespół
Prenumerata miesięczna 1.80 zł Kwartalnie 5.40 zł.
Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 I p tel 880 71, 880 26
Sekretarz redakcji przyjmuje codziennie prócz włorków [illegible] 11 – 13
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy [illegible]
Drukarnia Akcydensowa [illegible] Tamka 3. Zam. 2421. 3-B-25905.